

DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 28 maja 1950 r.

Nr 21 (235)

IREŚĆ NUMERU: Nasi Laureaci; Jan Dobraczyński — List dwudziesty piąty; Dominik Horodyński — Polityka i Sztuka; Andrzej Lepkowski — Kartki ze szkicownika; Mikołaj Rostworowski — Sedno liryki; Włodzimierz Wnuk — Z „Bolesławem Chrobrym” do Malborka; Bohdan Kazimierz Bogdanowicz — Notatki poznańskie;

ROMAN KOŁONIECKI

Modlitwa do Ducha Świętego

*Ześ wszechmogący Bóg i ptak,
Co skrzydłem mrok wewnętrzny łamie,
Splyń — i z dusz wymaż wszelki brak,
Ciała w pomników przekształć kamień!*

*Ześ najstrzelistszych kopył klucz
I wiekuisty niebios ogień,
Serc lawą usta mówić ucz
I z pustką zmagać się jak z wrogiem!*

*Natchnionych światel szczodry snop,
Wykwitnij znów ku ziemskiemu szczytom!
Dnia gwiazdą zepnij stromy strop
Ponad opoką Piotra litą!*

*W dreszczu świętości rozwiń lot,
Synogarlico śnieżnobiała,
Nad stal, łopatę, kielnię, młot —
Ażeby ziemia odmłodziła.*

*Żelazo woli, ramion brząz
Nadludzki zawrzec pragną sojusz,
Żeby Mazowsze, Tatry, Śląsk
Dać Ci na dom Twój — Dom Pokoju.*

*Niech znad stert kości, gruzów gór
Nowe szczęśliwe życie wstanie,
Piękne — jak wieszczę szum Twych piór,
Jak Chrystus, kiedy stał w Jordanie.*

*Ześ wszechmogący Bóg i ptak,
Co w locie bielmo z oczu strąca,
Splyń! Oto krzyża święty znak
Czyni dziś ręką budującą.*

Zielone Święta

Zielone Święta są pamiątką narodzin Kościoła. Bo choć już przedtem Chrystus wybudował Jego zręby, choć już powierzył Piotrowi-Opoce klucze do Jego bram, — to jednak apostołowie mieli czekać na obiecanie zesłanie Ducha Świętego, aby dopiero wtedy przystąpić do właściwej działalności. Uczniowie Chrystusa byli właśnie zgromadzeni w wieczerniku. Duch Święty zstąpił na nich przy szumie gwałtownego wichru w postaci języków ognistych i nappełnił ich dusze swoją mocą.

Duch Święty jest ciągle obecny w życiu Kościoła. „Chrystus jest głową Kościoła, — pisał św. Augustyn — Duch Święty jest Jego duszą; czym jest dusza w naszym ciele, tym jest Duch Święty w ciele Chrystusowym, którym jest Kościół”. Duch Święty jest Duchem Prawdy. To On przemawiał przez proroków. To On przemawia przez Kościół. Dzięki Jego nieustannej opiece skarb Objawienia przechowywany jest przez wieki i będzie trwał do końca świata. Właśnie w okresie wielkich przemian dziejowych Duch Święty w szczególny sposób czuwa nad Kościołem, który ma pełnić swoją misję w nowych warunkach życia.

Duch Święty jest źródłem każdej prawdy. Służba prawdzie jest obowiązkiem wobec Ducha Świętego. Św. Paweł mówi, że trzeba „stać się prawdziwym w miłości”. To znaczy, że miłość chrześcijańska musi opierać się na prawdzie, że przed każdym działaniem musimy rozpoznać istotne potrzeby i warunki tego świata, w którym mamy działać.

Duch Święty nie tylko oświeca, ale również daje siły do działania. Jego łaska kierowała krokami Piotra, Pawła, Jana i wszystkich tych, którzy ponieśli światu Dobrą Nowinę. Chrystus powiedział: „Otrzymacie moc Ducha Świętego zstępującego nas was i będziecie mi świadkami...” Duch Święty jest Pocieszycielem, jest Dawcą radości. On jest źródłem wiecznej miłości Kościoła. Dzięki Jego pomocy chrześcijanie zwracają śmiało swoje oczy ku przyszłości, mając w sercu niezachwianą wiarę, że kryje ona w sobie nowe rozkwity i nowe zwycięstwa.

Konferencja katolików świeckich

Nie ma chyba rozsądnego obywatela, dla którego nie byłoby jasne, że historyczna decyzja Episkopatu i Rządu Polski Ludowej stwarza ramy, które tylko wówczas dowiodą swego znaczenia, jeżeli katolicy polscy będą umieli wypełnić je żywą treścią. Ustalenie pierwszych konturów tej treści, było właśnie przedmiotem obrad konferencji, zwołanej z inicjatywy Zespołu „Dziś i Jutro” oraz „Słowa Powszechnego” w dniu 14 maja b. r. w Warszawie, dokładnie w miesiąc od daty podpisania aktu normalizacji stosunków między Kościołem a Państwem.

Konferencja zgromadziła 133 delegatów, reprezentujących niemal wszystkie ośrodki działalności katolickiej w Polsce. Nie sposób wymienić w artykule sprawozdawczym nazwisk wszystkich uczestników Zjazdu. Toteż z konieczności wypadnie ograniczyć się do tych, które w jakimś tylko stopniu zilustrują szerokość reprezentowanego wachlarza środowisk i poglądów.

Literatura i publicystyka katolicka były chyba reprezentowane najliczniej. Wśród obecnych widzieliśmy: Antoniego Golubiewa, Jana Władysława Grabskiego, Wojciecha Zukrowskiego, Stanisława Rembeka, Eugeniusza Pauksztę, dra Aleksandra Rogalskiego, dra Stanisława Stompe, p. Eugenie Kobylską, Stanisława Podlewskiego, Jana Dobraczyńskiego, Wojciecha Kętrzyńskiego, Bolesława Piaseckiego, Konstantego Lubińskiego, Pawła Jasieniec, Dominika Horodyńskiego, Zygmunta Lichniaka, Zygmunta Kubiaka, Włodzimierza Wnuka, Macieja Józefa Kononowicza, Ryszarda Reiffa, Mikołaja Rostworowskiego, Zygmunta Przetakiewicza, Andrzeja Krasińskiego.

Naukę reprezentowali: prof. Konrad Górski, prof. Leon Halban, prof. Szwarcenberg - Czerny i prof. Andrzej Wojtkowski (dwaj ostatni z KUL-u). Nie zabrakło też znanych ogólnie działaczy społecznych, jak: p. Anna Lasocka, p. Halina Dernałowicz, nestor rzemiosła polskiego p. Wojciechowski, szambelan papieski Seweryn Dolański, sędziwy działacz kaszubski p. Franciszek Sędzicki, poseł Jan Frankowski, stary odrodzeniowiec — p. Wędrychowski i wielu, wielu innych. Wśród obecnych można było także dojrzeć przedstawicieli świata wydawniczego reprezentowanego w osobach dyrektora „Pax”-u p. Janiny Kolendo oraz ojca i syna Kuthanów. Nie mogąc wziąć osobiście udziału w konferencji życzenia pomyślnych obrad nadesłali na ręce organizatorów Zjazdu, m. in.: prof. Artur Górski, Adam Grzymała-Siedlecki, prof. Janusz Makarezyk, dr Irena Sławińska, Jerzy Zawieyski.

Referat K. Lubińskiego

Obradom przewodniczył Bolesław Piasecki, a referat, stanowiący zasadniczy trzon dyskusji wygłosił Konstanty Lubiński.

Na wstępie referent wyjaśnił powody, dla których konferencja ma charakter świecki, podkreślając konieczność zerwania ze szkodliwą tradycją spychania ciężaru odpowiedzialności wyłącznie na barki duchowieństwa. „To stanowisko — mówił Lubiński — prowadzi do zaniku aktywności ze strony świeckich katolików i do popadania w stan kwetyzmu”. Zwłaszcza zagadnienia społeczne domagają się, zdaniem Lubińskiego, współdziałania świeckich, którzy „muszą mieć w tym zakresie fachowe wykształcenie, gdyż procesy społeczne, a w szczególności procesy gospodarcze są w czasach współczesnych tak skomplikowane, że tzw. ogólne wykształcenie nie jest wystarczające, aby je opanować”. To samo, rzecz jasna, dotyczy zagadnień kulturalnych.

TŁO POROZUMIENIA

Omawiając tło porozumienia referent zwrócił uwagę na pięć zasadniczych elementów, które warunkowały zawarcie umowy. Pierwszy z nich, to postawa Rządu, który, zajmując stanowisko bezkompromisowe, jeżeli idzie o przeprowadzanie reform gospodarczych i społecznych — wyznawanie światopoglądu innego niż materialistyczny uznaje za fakt i deklaruje gotowość stwarzania warunków dla jego kultywowania.

Drugi element dotyczy postawy mas wierzących, uczestniczących w dziele reform, a jednocześnie stojących na gruncie katolicyzmu.

Trzeci element zasadza się na realistycznej ocenie przebudowy społeczno-gospodarczej, stwarzającej ogromne perspektywy dla narodu.

Dwa ostatnie są wynikiem analizy politycznej sytuacji naszego kraju. Chodzi mianowicie o rewizjonizm spadkobierców Niemiec nazistowskich, podsycony przez imperialistyczne kółka USA oraz o kreację robotę tych zagranicznych środowisk politycznych, którym zależy na wywoływaniu stanu wrzenia w Polsce. Referent wskazał na tragiczny okres braku porozumienia, który w konsekwencji przynosił kurczenie się zakresu materialnego posiadania Kościoła, a tym samym ograniczenie możliwości pełnienia przez Kościół jego misji. Temu stanowi rzeczy towarzyszyły nie rzadko konflikty moralne u wierzących, dostrzegających konieczność reform, z drugiej zaś strony elementy anarchiczne w kraju utrudniały Rządowi realizację

celów wspólnych dla społeczeństwa. Wreszcie na arenie międzynarodowej konflikt był wygrany przez ośrodki wrogie interesom Polski. Wzięcie pod uwagę powyższych faktów umożliwiło zawarcie porozumienia, mimo tylu oczywistych trudności.

OBOWIĄZUJE REALIZM

Analizując treść porozumienia Konstanty Lubiński omówił na początku jego część „polityczną”, na którą się składa 9 pierwszych punktów. Uzasadniając ich merytoryczną słuszność przypomniał referent stanowisko Episkopatu wobec Porozumienia, wskazujące na kontynuację odwiecznej tradycji „zespólnienia Kościoła Katolickiego z życiem narodu, z jego losem”. „Gdyby jednak ktoś miał wątpliwości co do słuszności wyżej wymienionych punktów — mówił Lubiński — niechże sobie uświadomi, że ich akceptacja i realizacja jest warunkiem możliwości realizowania punktów, należących do części, dotyczącej życia katolickiego”. Referent zanalizował następnie potencjalne znaczenie drugiej części Porozumienia, stwarzającej cały szereg gwarancji dla życia katolickiego w Polsce. Nawołując do maksymalnego wykorzystania powstałych możliwości Konstanty Lubiński powiedział: „Trzeba stwierdzić, że wprowadzenie te możliwości są mniejsze, aniżeli były, np. w roku 1948, tym niemniej pozwalają jeszcze na dość bogate życie katolickie. „Uświadamiając sobie konieczność działania, równocześnie musimy zdawać sobie sprawę ze wszystkich trudności, które będziemy musieli przełamywać. Tych trudności będzie nie mało. Trzeba jednak zawsze kontrolować, czy powody tych trudności nie leżą także po naszej stronie”.

GDZIE I JAK DZIAŁAĆ?

Przechodząc do konkretnych zadań, jakie domagają się podjęcia przez katolików, znaczną część przemówienia poświęcił Lubiński postawie, jaka powinna nas cechować: „Oczywiście uważam za truizm stwierdzenie — mówili — że pierwszym zadaniem zawsze i wszędzie jest pogłębienie własnego życia wewnętrznego”. Równocześnie jednak „trzeba pamiętać, że im to życie jest bogatsze, tym bardziej winno ono promieniować na zewnątrz”. Za najbardziej zasadniczy teren aktywności katolika uważa referent miejsce pracy, oczywiście nie w sensie tworzenia jakichś autonomicznych zespołów itp.: „Nie, nie o to chodzi. Chodzi natomiast o to, aby po pierwsze katolik nie ukrywał, że jest katolikiem, aby nie ukrywał, że nie tylko wierzy, ale i praktykuje. A zdarza się i to dość często, że właśnie ci katolicy, którzy

poza swoim miejscem pracy gdzieś na towarzyskich zebraniach wyrażają poglądy katolickie, w miejscu pracy, gdzie spędzają większą część swojego życia, z tym katolicyzmem się kryją, wstydzą się go. Po drugie chodzi o to, aby praca katolika była przykładem dla innych, była bardziej ofiarna, bardziej uczciwa, aby katolik wykazywał większy zmysł społeczny, aby charakteryzował go spokój... Czyż można lepszy argument znaleźć przeciw materializmowi dialektycznemu, jak ten, który dowodzi, że katolickie podstawy filozoficzne stwarzają lepszego, doskonalszego człowieka?”

Ale byłoby błędem, gdyby miejsce pracy zawodowej uważać za jedyne, obok którego widzi się już tylko dom Boży. „Świątynia, a raczej to, co się w niej dzieje, jest, oczywiście najważniejszym źródłem sił dla katolika. W obecnych czasach, wymagających specjalnego nasilenia akcji społecznej, źródło to musi promieniować na zewnątrz, na inne odcinki życia katolickiego”. I tu na plan pierwszy wysuwa się akcja charytatywna, która w szczególności wzmacnia siły moralne katolików. Łubieński podkreślił, że „Porozumienie otwiera szerokie możliwości dla tej akcji, postanawia bowiem przekształcenie „Caritasu” w nowy typ organizacji, zrzeszającej katolików przy współudziale duchownych, którym Episkopat ma umożliwić działalność w tym zrzeczeniu. Obok tej organizacji, która winna być przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania, jako organizacja katolików, obejmująca całe terytorium kraju, — może rozwijać się również akcja charytatywna, oparta o organizację kościelną”. Łubieński wskazał następnie dalsze niezmiernie ważne odcinki, na których katolicy winni zintensyfikować dotychczasową aktywność w oparciu o Porozumienie. Są to przede wszystkim: szkolnictwo katolickie, filozofia, literatura, sztuka, nauki społeczne, publicystyka — jednym słowem, ogromna dziedzina twórczości kulturalnej.

PRAWO DO PRAWDY

W końcowych partiach referatu nawoływał Łubieński do obiektywizmu wobec otaczającej nas rzeczywistości: „trzeba po prostu szukać wszędzie prawdy i trzeba umieć tę prawdę uznać, ktokolwiek byłby jej autorem... Konsekwencją takiego stanowiska będzie walka, którą musimy w imię dobra katolicyzmu toczyć z wszelkimi objawami obskurantyzmu, który nas kompromituje, fideizmu, który kopie przepaść między prawdami wiary a nowoczesnym człowiekiem i dewocją, która tworzy może fanatyków, ale nie prawdziwych realizatorów wskazał Chrystusa.

WNIOSKI

Referent podsumował swoje rozważania następująco: „Porozumienie, zawarte w dniu 14 kwietnia obliguje katolików świeckich do realizacji następujących zadań:

1. Zajęcia zdecydowanego stanowiska politycznego, określonego w punktach 1 — 9 Porozumienia — ponieważ to stanowisko wyraża najistotniejsze cele współczesnej polskiej racji stanu i jest podstawowym warunkiem działalności w życiu społecznym.

2. Wzmocnienia aktywności katolików w pracy zawodowej, w katolickiej akcji charytatywnej, oraz na wszystkich innych odcinkach życia.

3. Dostosowania metod pracy i form działania do nowych warunków społeczno-gospodarczych, kulturalnych, — odpowiadających nowoczesnemu człowiekowi.

Długo nie milknąca burza oklasków była wymownym dowodem pełnej aprobaty zebranych dla tego referatu. Słuszność powyższej obserwacji potwier-

dziła wkrótce dyskusja, która toczyła się od wczesnego przedpołudnia do godziny 21.30.

Polityczny sens porozumienia

Jako pierwszy zabrał głos w dyskusji Przewodniczący Klubu Poselskiego Katolicko-Społecznego dr Jan Frankowski, podkreślając istotę więzi, łączącej uczestników konferencji: „Kościół Katolicki — mówił — jest Jeden, Święty i Powszechny, a wszyscy Jego wyznawcy są Jego członkami i jakkolwiek specyfikacja w obrębie tego zespołu jest zbędna i niewłaściwa i

po prostu wprowadza zamieszanie. Tej jedności musimy strzec jak zrenicy w oku. Kościół jest nasz. Stwierdzenie tak proste, ale jak głęboko i często zapomnianą kryje ono treść. Kościół to nie tylko Papież, to nie tylko biskupi; Kościół to my wszyscy pod ich hierarchicznym przewodnictwem... Nie wolno nam odpowiedzialności za losy Kościoła Katolickiego przerzucać wyłącznie na Hierarchię — odpowiedzialność ta również spada i na nas. Doktryna katolicka uczy, że w sprawach wiary, obyczajów i jurysdykcji obowiązują nas bezwzględne posłuszeństwo wobec Hierarchii i ten moment bezwzględnego posłuszeństwa pragnę z jak największą stanowczo-

ścią podkreślić. Pozostaje jednakże cała bogata dziedzina innych zagadnień — żywo dotykająca wszystkich, odnośnie której katolicy muszą myśleć i działać według własnego rozumu”. Analizując sens polityczny porozumienia mówca zwrócił uwagę na zobowiązania przyjęte przez Hierarchię a konsekwentnie przez całe społeczeństwo katolickie: „W Sejmie powiedziałem, czego spodziewamy się od Rządu, jeśli chodzi o realizację Porozumienia. Dziś, mając przed sobą słuchaczy katolików, muszę raz jeszcze podkreślić, czego wymagamy od katolików... Od katolików polskich wymagamy w szczególności: właściwego stosunku do Państwa Ludowego, poszanowania jego

praw, zdecydowanie negatywnego stosunku do wszelkiej akcji podziemnej, właściwej postawy wobec naszego sojusznika ZSRR, zdecydowanego stosunku w sprawie Ziemi Odzyskanych i w sprawie akcji pokoju”.

„DO UT DES”

Posel Frankowski przypomniał znana w prawie rzymskim tzw. „societas leonina” (spółkę lwia), polegającą na wyłącznym czerpaniu korzyści przez jedną z układających się stron. Zdaniem mówcy polityka należy do rzędu typowych dziedzin, w których nie może istnieć lwia spółka, a gdyby zaistniała, to życie bardzo szybko ją zlikwiduje. „Pamiętajmy — mówił dr Frankowski — że zobowiązania pod-

Ks. Prof. Dr. Kazimierz Kłósak

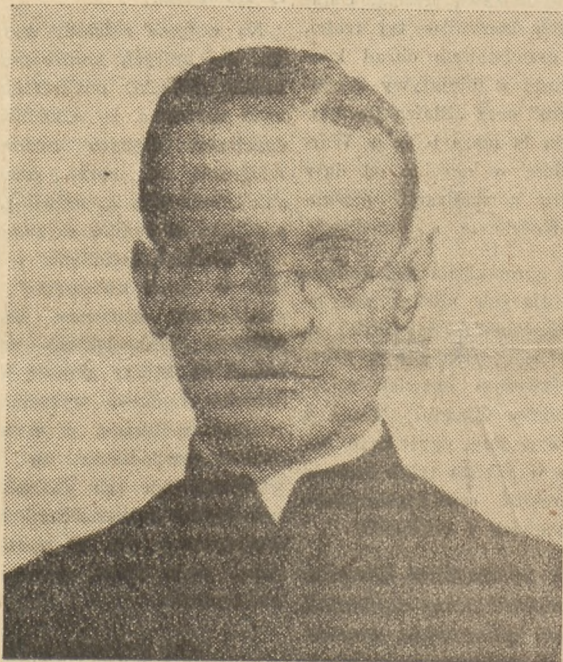
Pomimo młodego wieku (urodzony 1.1.1911 w Żółkwi) zdobył sobie X. Prof. Kłósak mocne stanowisko w polskiej nauce katolickiej. Inauguracją tej bogatej działalności naukowej była rozprawa doktorska na temat: „Tomizm w ujęciu Jakuba Maritain’a”. Swoją karierę

przedstawione wywołały ożywioną polemikę wśród naukowców katolickich.

Ostatnio Ks. Prof. Kłósak ze szczególnym zainteresowaniem zwrócił się w stronę kosmologii.

Pełny wykaz ogłoszonych przez niego prac wygląda następująco:

Dogmat Odkupienia wobec myśli współczesnej, Przegląd Powszechny 1935.



Ks. Kazimierz Kłósak — laureat nagrody naukowej.

naukową rozpoczął X. Prof. Kłósak pod kierunkiem X. Prof. Konstantego Michalskiego. Dalsze kroki stawia już na terenie zagranicznym, studiując najpierw na dominikańskim uniwersytecie Angelicum w Rzymie później zaś w Instytucie Filozoficznym w Louvain w Belgii.

W latach 1939—1947 pełni funkcję Prefecta Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Krakowie. Od lat 1947 jest zastępcą profesora na wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W okresie 1945—1950 rozwija nadzwyczaj ożywioną działalność twórczą, publikując szereg rozpraw i artykułów. Podejmuje w nich polemikę z filozofią marksizmu. Można powiedzieć, że X. Prof. Kłósak jest dziś jedynym niemal uczonym katolickim, który nie tylko zadaje sobie trud stałego studiowania myśli filozoficznej marksizmu, ale także prowadzi czynną polemikę z publikacjami tego obozu.

Poza tym, celem wysiłków naukowych X. Kłósaka jest zaktualizowanie i nowoczesne sformułowanie niektórych starych tez filozofii chrześcijańskiej. Przykładem tego może być poruszone niedawno na łamach „Znaku” zagadnienie kinetycznego dowodu istnienia Boga. Ks. Prof. Kłósak podjął trud omówienia tego tradycyjnego dowodu tomistycznego na tle najnowszych zdobyczy fizyki współczesnej. Propozycje nowego sformułowania tam

Maritainowa analiza stosunku filozofii moralnej do teologii, Collectanea theologica, XIX (1938) f. 2, str. 177—220.

Filozofia przyrody w ujęciu Jakuba Maritaina, Polski Przegląd Tomistyczny, 1939 nr. 2, str. 154—170.

Twórczość naukowa Ks. Konstantego Michalskiego, C. M., Tygodnik Powszechny, III (1947) nr. 44(187).

Ks. Konstanty Michalski, C. M., Ateneum Kapłańskie, tom 47, r. 39 (1947) str. 313—316.

Materializm dialektyczny a fizyka współczesna, Znak, r. II, 1947, str. 719—732.

Myśl katolicka wobec teorii samorodztwa, Kraków 1948, str. 34.

Dialektyczna interpretacja ruchu, Ateneum Kapłańskie, tom 48, rok 40 (1948), str. 1—13.

Materializm dialektyczny. Studia krytyczne, Kraków 1948, str. 106.

Metafizyczna i fizyczna zasada przyczynowości wobec relacji niedokładności W. Heisenberga, Roczniki Filozoficzne, I, Lublin (KUL), 1948, str. 198—213.

Zasada „komplementarności” N. Bohra i relacje niedokładności W. Heisenberga, a zagadnienie indywidualności fizycznych, Polonia Sacra, 1948, zesz. 3 i 4, str. 311—314.

Inquietum cor. Psychologiczne wprowadzenie do doktryny o intuicyjnym oglądaniu Boga, Homo Dei, r. XVII, 1948, str. 80—83.

Dialektyka a tradycyjna teoria ewolucji, Znak, r. III, 1948, str. 316—325.

Nowy typ cywilizacji chrześcijańskiej w ujęciu Jakuba Maritaina, Przegląd Powszechny, t. 226, 1948, str. 213—222.

Teoria indeterminizmu ontologicznego a trójwartościowa logika zdań prof. Łukasiewicza, Ateneum Kapłańskie, t. 49, r. 40, 1948, str. 209—230.

N A S I

Zofia Starowieyska-Morstinowa

jest jednym z pionierów naszej krytyki katolickiej. Od lat przeszło 20 omawia wszystkie prawie pozycje beletrystyczne. Jedną z pierwszych stara się stosować w ich ocenie kryteria światopoglądu katolickiego nie zaniedbując kryteriów artystycznych. Przed wojną była stałą recenzentką powieściową „Przeglądu Powszechnego”, pisywała też w „Pionierze”, „Kulturze” etc. Recenzje jej odbiegają daleko od przyjętych schematów, tak publicystycznych, jak i polonistycznych i można by powiedzieć że stanowią rodzaj dla siebie coś na pograniczu recenzji i literackiego esseyu. Zresztą krytyka literacka jest tylko jednym z działów twórczości Morstinowej. Pisywała dużo artykułów publicystycznych, ale przede wszystkim zaznaczyła się na polu tak u nas skąpo reprezentowanej twórczości „esseyowej”. Jej doskonałe szkice z podróży (Sycylii, Szwecji, Jugosławii) mają własny, ciekawy i odrębny styl. Odnaczają się doskonałymi opisami przyrody, wnikliwymi spostrzeżeniami i refleksjami z zakresu historii kultury i sztuki. Reportaże z Jugo-



Zofia Starowieyska-Morstinowa — laureatka nagrody literackiej.

taina, tamże, t. 227, str. 24—39.

Konieczność wyjścia poza logikę dwuwartościową, Ateneum Kapłańskie, Tom. 50, r. 41, 1949, str. 105—116.

Roczniki Filozoficzne I, tamże, str. 378—386.

Materializm dialektyczny, Homo Dei, r. XVIII, 1949, str. 357—373.

Hipoteza I. Oparina o powstaniu życia, Przegląd Powszechny, t. 229, 150, str. 45—56.

Metoda badań natury duszy, Znak R. V. 1950, str. 12—26.

O. Jacek Woroniecki O. P. Przegląd Filozoficzny 1949, zesz. 3 i 4. S. S.

ławii zostały wydane w tomiku pt. „Kamień i woda”. Oprócz tego wydała Zofia Morstinowa tom nowel i humoresek „Różę pod śniegiem”, oraz przed samą wojną książkę „Twoje i moje dzieciństwo” o której pisał Włodzisław Pietrzak: „Twoje i moje dzieciństwo” przejmując szacunkiem jest to utwór „mający prawo do pozostania na trwałe w literaturze polskiej”.

Po wojnie wydaje piranę podczas okupacji „Kabałę historii”.

pisali nie tylko trzech biskupi w imieniu całego Episkopatu — te zobowiązania podpisali także biskupi w imieniu wszystkich nas, świeckich katolików. Naszym obowiązkiem jest również bacznie obserwować, aby te zobowiązania były wypełniane, a wówczas mamy również prawo domagać się, aby i druga strona wywiązywała się z tego, co podpisała. Pod koniec swego przemówienia poseł Frankowski zapowiedział, że o Porozumieniu pisali w sposób mniej ogólnikowy, niż do tej pory, żeby „w najbliższym okresie czasopiśmie starali się jak najwięcej wszechstronnie i przystępnie pisać nie tylko

o problemie „jako takim“, ale o poszczególnych punktach Porozumienia i jego praktycznych konsekwencjach”.
ZADANIA PRASY KATOLICKIEJ
O aktualnych zadaniach prasy katolickiej mówił także **Paweł Jasienica**, analizując 14 punkt Porozumienia. Ze szczególnym naciskiem podkreślił on zależność ustaw, regulujących stosunki na polu publikacji katolickich, od stopnia realizacji przez piszących — wytycznych Porozumienia. „Wobec tego, że Episkopat poszedł na posunięcia w niektórych środowiskach niepopularne — mówił Jasienica — wytworzyła się dla prasy katolickiej obowiązkiem realnego tłumaczenia ludziom, że to, co się stało jest kwestią sumienia i rozumu”. Za naczelną zadanie wychowawcze piszących wobec społeczeństwa uważa Jasienica walkę z mentalnością pani Dulskiej, której to pani religią był strach przed tym, co ludzie powiedzą: „Strach przed tym, co ludzie powiedzą, to jest tradycja fatalnie ciężka w Polsce na metodzie załatwiania spraw ważnych. Można historycznie wywieść, można wskazać palcem, jak obawa przed presją opinii publicznej nie pozwalała u nas ludziom na posunięcia słuszne, ale w pewnych okolicznościach niepopularne. Podpisy Episkopatu pod aktem porozumienia są dowodem zerwania z tradycją wpływów pani Dulskiej”.

Zdaniem mówcy poważne niebezpieczeństwo dla skuteczności oddziaływania prasy katolickiej stanowi pewien hermetyzm, skłonność do grzebania na własnym podwórku. A przecież właśnie, jeżeli idzie o odzwierciedlenie przemian, którym kraj podlega, świętym obowiązkiem prasy katolickiej winna być, według Jasienicy, ambicja pierwszeństwa.

TO NIE BYŁA KAPITULACJA
Znany działacz przedwojennego „Odrodzenia”, **D. Wędrychowski** z Kielc, w sposób kategoryczny rozprawił się z tezą o rzekomej „kapitulacji” Episkopatu wobec rzeczywistości, wskazując między innymi, że stwierdzenie,

iż najwyższym autorytetem w dziedzinie wiary, moralności i jurysdykcji jest Ojciec Święty implícite zawiera to, że podstawy dogmatyczne są nienaruszone.

NIE BĘDIEMY WALLENRODAMI

Prof. Kazimierz Szwarencberg Czerny z KUL, wybitny znawca prawa międzynarodowego, mówił o dobrej wierze kontrahentów, która jest nieodzownym czynnikiem prawomocności jakiegokolwiek umowy: „Porozumienie między Episkopatem a Rządem zostało zawarte w dobrej wierze i musi być w dobrej wierze wykonane. Byłoby to fatalna rzecz i mówię to całkiem szczerze, ciągnął profesor Szwarencberg - Czerny — gdyby ktoś mógł w dobrą wiarę wątpić i podejrzewać o jakiś wallenrodizm. Dlatego jako katolicy musimy stanąć na tej płaszczyźnie: Porozumienie musi być wykonane w 100 proc. i każdy z katolików włoży w to Porozumienie maksimum dobrej woli”.

O DOBRĄ INFORMACJĘ

Mówiąc o zagadnieniu Ziemi Zachodnich i sprawie właściwego informowania Kurii Rzymskiej, **profesor Szwarencberg Czerny** oświadczył, że kontakt z Kurią Papieską „przed wojną istniał tylko przez Episkopat. Katolicy świeccy nie mieli go. Tylko w odosobnionych wypadkach zdarzało się, że katolik świecki mógł informować o rzeczywistych nastrojach i aspiracjach kraju i o tym, w jakim kierunku idzie akcja narodowa i katolicka. Jeżeli więc katolicy uwzględnią dziś ten moment, by przez wysyłanie ludzi czy w inny sposób informować Kurie Papieską, to być może nieraz unikną zarzutu, że właściwe najwyższe czynniki nie były należycie informowane”.

ROZTROPNOŚĆ HEROICZNA

Kiedy na mównicę wkraczał wielokrotnie przedstawiciel katolickiej ludności kaszubskiej, **Franciszek Sedzicki**, którego imieniem nazwana jest jedna z ulic w Gdyni, zgodna fala szczerego wzruszenia przebiegła po zebranych. A mówca **Derdowski** i **Abrahamów** snuł swym chropawym akcentem opowieść, która starczy za wszystkie wnikliwe diagnozy zawodowych statystów: „Jakie ponosili ofiary Polacy gdańscy tego dowodem, mogą powiedzieć, że z patronatu towarzystw ludowych gdańskich nikt już prawie nie został... Gdy pan **Wesołowski** stał nad grobem, do którego miał się zwałić, to jeszcze skłonił przysięgę Polsce i religii katolickiej... Jeżeli mówimy o przedstawicielach przy Watykanie, to chodzi o osobę, która by to była... Gdańsk nie miał przedstawiciela w Rzymie, ale niespodziewanie został mianowany Niemiec, skazany teraz po wojnie na więzienie... Wtedy mówię o tym, że społeczeństwo katolickie na Kaszubach jest lojalne, a zarazem było i chłopskie i robotnicze, że było dotąd w bardzo trudnej sytuacji. Tę właśnie trudność to obecne Porozumienie usuwa, więc niewątpliwie jest jasnym, że to przez katolików kaszubsko - pomorskich zostało bardzo przychylnie przyjęte, a uważam, że to odnosi się i do innych odłamów ludności i, że tym, którzy się o to starali należy się bardzo szczerze uznanie i podziękowanie...”

„POROZUMIENIE

JEST DO ZREALIZOWANIA“

Przemówienia **Andrzeja Wielowiejskiego**, posła **Wilandta**, mecenasa **Prószyńskiego** z Włocławka, **p. Dunin-Michalowskiego** z Poznania i **Andrzeja Krasieńskiego**, wielokrotnie nawracają do analizy strony politycznej porozumienia. Najładniej ujął problem **Jan Dobraczyński**, mówiąc o niewątpliwych uprawnieniach, jakie akt normalizacji stosunków gwarantuje katolikom polskim: „Nie łudźmy się, że te uprawnienia wchodzi w życie przez sam fakt bezpośredni istnienia Porozumienia. Porozumienie jest do zrealizowania”.

Z. E.

(Ciąg dalszy na następnej stronie)

LAUREACI

Ciekawa ta i oryginalna książka daje nam w szeregu szkiców literackich, artystycznych i historycznych wiele trafnych spostrzeżeń o twórczości artystycznej, wykazuje ciągłość i niezniszczalność artystycznej twórczości człowieka i stara się wysledzić prawa tej twórczości. „Wydaje się, że niemożność korzystania przez wszystkich ze zdobyczy kulturalnych zbytnie oddalenie elity od społeczeństwa... Jest zawsze igłą wskazującą na żełgarze historii, że nadchodzi godzina koniecznej przebudowy“.

Fakt, że prawdę tę dostrzegła **Morstinowa** w czasie okupacji, rozstrzygając o twórczości **Dante** i **Michała Anioła** świadczy, że zainteresowania artystyczne i literackie nie rozdzielają się u niej od zainteresowań aktualnych, życiowych.

Ze tak jest rzeczywistość świadczą bogata twórczość literacka, krytyczna i publicystyczna jaką rozwinęła po wojnie głównie na łamach „Tygodnika Powszechnego“ w którym pracuje jako członek zespołu redakcyjnego.

A. G.

Dr. Stanisław Stomma

Urodzony 18 stycznia 1908 r. Po ukończeniu studiów prawniczych na USB w Wilnie poświęca się pracy naukowej. W r. 1936 ukazuje się pierwsza praca prawnicza **Stomma** pt. „Wina i związki przy czynnym w rozwoju prawa karnego“. Jednakże zamiłowanie nauko-

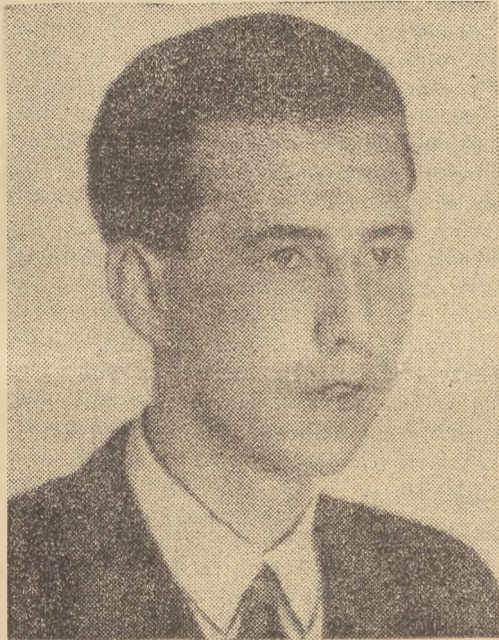
współpracownikiem redakcji **krakowskiego „Głosu Narodu“**. W latach 1938 — 39 przebywa we Francji, gdzie studiuje socjologię, a także poznaję ją blisko z tamtejszym środowiskiem katolickim. Wchodzi wówczas w kontakt z przedstawicielami radykalnej myśli katolickiej co ma przełomowe znaczenie dla ukształtowania jego postawy ideologicznej.

W czasach okupacji niemieckiej organizuje w Wilnie tajne powszechne wykłady uniwersyteckie, skupiające liczne grono młodzieży, z którą nawiązuje też żywy kontakt ideowy.

Po wyzwoleniu ziem polskich wraca znów do pracy naukowej, powołany w 1946 r. na stanowisko adiunkta przy wydziale prawnym UJ w Krakowie. Wykłada dalsze prace naukowe, które doprowadzają do przewodu habilitacyjnego. Razem z tym dochowuje wierności powołaniu publicystycznemu. Od pierwszej chwili pojawienia się nowej prasy katolickiej w Polsce **Stomma** zgłasza się do czynnej z nią współpracy. W r. 1946 zostaje wraz z **Hanną Malewską** redaktorem naczelnym „Znaku“. Pomimo ogromnych trudności finansowych walczy wytrwale o byt tej cennej i jedynej w tym rodzaju placówki katolickiej. Liczne artykuły w całej prasie katolickiej: w „Tygodniku Powszechnym“, w „Znaku“, w „Dziś i Jutro“ oraz w pomniejszych periodykach katolickich. Na zamówienie towarzy-

ka znanemu poecie i publicyście, **Mikołajowi Rostworowskiemu**, dla nikogo nie było niespodzianką. Jako niespodziankę przeżył rozstrzygnięcie jury chyba tylko — nie doceniający dorobku dwudziesto-czteroletniego laureata — **Mikołaj Rostworowski**. Oprócz niego wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że gatunek twórczości poe-

żyją wraz z nim zwycięstwo nad niebezpieczeństwami pięknoduchostwa, poezji smaczków, egzotyki słowa i ornamentu muzyki, spotykają się z poetą, którego „sensus catholicus“, uwyraźniony i pogłębiony intuicją i pracą artysty zdobywa coraz pełniejszy wyraz. Artykułów napisał **Rostworowski** niewiele. Píše je z trudem,



Mikołaj Rostworowski — laureat Nagrody Młodych.

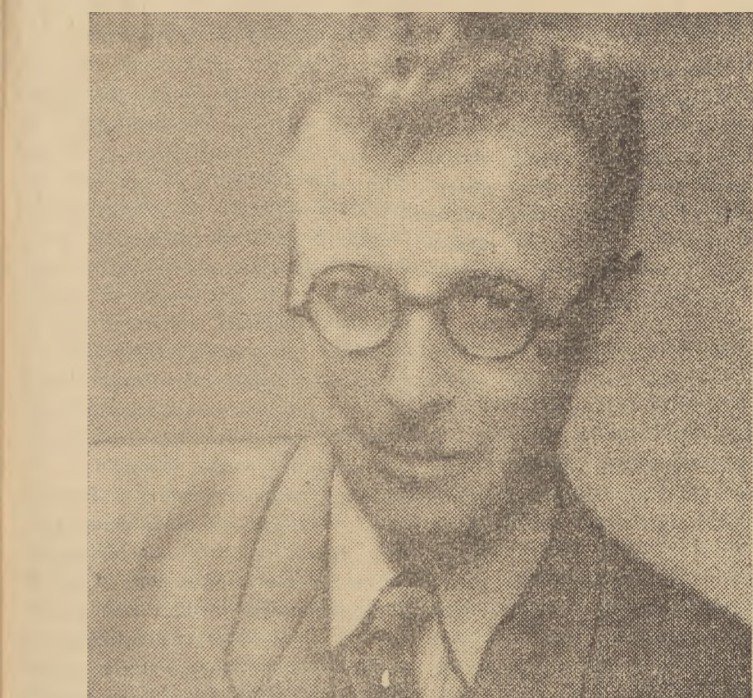
tyckiej i działalności publicystycznej, jaki on reprezentuje wysuwa go zdecydowanie na czoło młodej kadry katolickiej, wyznacza mu poczesne miejsce wśród współtwórców polskiego życia katolickiego naszych dni.

W życie to wnosi **Mikołaj Rostworowski** urok nowego spojrzenia, siłę ukochania prawd twardych ale wiecznych, rzetelność myśli, czystej i surowej, ambicję walki o integralne, pełne zrozumienie zasad katolicyzmu, walki o rozumienie związku tych zasad ze sprawami, z którymi nie wszyscy je wiążą. Mówi o tym kilka jego wierszy, mówi o tym każdy jego artykuł.

Wierszy napisał **Rostworowski** niewiele. Píše je z trudem, bardzo wolno. Poeta w poczuciu odpowiedzialności swej pracy czuwa nad każdym słowem. Każde słowo waży na szali umiłowania prawdy i piękna. W r. 1947 wydał swój pierwszy tomik. W ciągu następnych trzech lat opublikował w pismach dwanaście utworów. Na następny tomik każe czytelnikom czekać długo, może nawet zbyt długo. Ale już dzisiaj, gdy czytaliśmy „Trasę Lipcową“, gdy w tym numerze czytamy „Sedno liryki“ wiemy, że czytelnicy czekają nie nadarmo. Ujrzą go jeszcze dojrzałszym, zauważą konkretyzującą przeżytych dostrzegają przezwyjęcie groźnego mu dawniej estetyzmu, prze-

bardzo wolno. Publicysta w poczuciu odpowiedzialności swej pracy czuwa nad każdym słowem. Każde słowo waży na szali umiłowania prawdy, każde niemal słowo kontroluje i bada w surowej próbie przemyśleń, w każdym niemal zdaniu bilansuje prawdę historycznych i własnych doświadczeń. Katolik z prawdziwego przeżycia i metafizycznej konieczności, socjalista z prawdziwego zrozumienia dynamiki historii, jest **Rostworowski** w każdym swym artykule publicystą par excellence katolickim, i socjalistycznym, publicystą z prawdziwego, historycznego zdarczenia.

W ciągu dwóch lat (1947 — 48) — pełniąc jednocześnie obowiązki sekretarza katolickiego klubu poselskiego — informował czytelników „Dziś i Jutro“ o najważniejszych wydarzeniach „W kraju“. W ciągu trzyletniej pracy redakcyjnej ogłosił w tym piśmie niepełną dwadzieścia artykułów, ale każdy z nich nowymi, twórczymi wnioskami wzbogacał ogólną znajomość przedmiotu. Wystarczy przypomnieć „Odpowiedzialność za cywilizację“, „Planowanie dla Wolności“ czy dwa ostatnie, kapitalne w postawieniu problemu i sformułowaniu wniosków artykuły: „Poezja jest bronią“ i „Oczami pokolenia“. Prawdopodobnie walory formalne kazały członkom jury zaliczyć je do twórczości literackiej laureata.



Stanisław Stomma — laureat nagrody publicystycznej.

we konkurują silnie z powołaniem publicystycznym. Jeszcze przed wojną nazwisko **Stomma** figuruje na łamach wszystkich niemal czasopism katolickich w Polsce, w szczególności zaś na łamach wileńskiego miesięcznika „Pax“, którego przez pewien czas jest redaktorem naczelnym. W r. 1937 zostaje

stwa wydawniczego „Pax“ wykańcza obecnie pracę na temat „Z zagadnień humanizmu chrześcijańskiego“.

A. G.

Mikołaj Rostworowski

Przyznanie w r. 1950 Nagrody Młodych im. **Włodzimierza Pietrza**

ZGODA BUDUJE

Pałaco aktualna problematyka pokoju znajdowała wielokrotne odbicie w szeregu przemówień. Niemal w całości były jej poświęcone wypowiedzi Jana Meysztowicza i p. Eugenii Kobylińskiej, reprezentującej wraz z Włodzimierzem Wnukiem katolickich pisarzy Wybrzeża. Autorka „Ryśka z Belmontu” mówiła: „Dzisiaj, gdy cały świat postępuje - demokratyczny manifestuje na rzecz pokoju, ta sala obecnie, to całe zgromadzenie jest również fragmentem tych gigantycznych manifestacji. Bowiemy walczą się o pokój nie tylko licząc siły gotowe do odparcia ataków pokojowi zagrażających, ale również ukazując piękno pokoju i owej zgody, łączącej ludzi jako braci i jako przyjaciół... Katolik i marksista, chociaż z innych pobudek, zupełnie tak samo patrzą na wielką ideę sprawiedliwości społecznej jako na fundament przyszłego świata bezklasowego. Razem mogą dążyć do socjalizmu i wspólnie kochać Polskę Ludową.”

POKOJ NA CODZIEN

Jan Meysztowicz zaatakował zagadnienie od strony jego konsekwencji praktycznych. Nie wystarczy podpisać apel. To jest gest łatwy i tani. Chodzi o to, abyśmy w naszej codziennej postawie, w tych licznych rozmowach, które prowadzimy z różnymi naszymi przyjaciółmi, znajomymi, krewnymi i wszystkimi tymi, z którymi rozmawiamy szczerze — wyraźnie i bezkompromisowo bronili polskiej racji stanu, która wymaga jednej rzeczy: ażebyśmy bronili pokoju, lecz nie abstrakcyjnie, ale w tym obozie, w którym się znajdujemy.

Sprawy kultury

Dominik Horodyński w dosyć obszerniej wypowiedzi starał się zanotować aktualną sytuację katolickiej twórczości kulturalnej.

Horodyński uważa, że „dierwszym naszym obowiązkiem jest nie dać się ustawić w roli dywersji politycznej i klasowej na polu kultury”. Drogę do tego celu widzi w jak największej intensyfikacji własnej katolickiej twórczości kulturalnej, z uwzględnieniem tego wszystkiego, co w postulatach marksistów jest do przyjęcia także z katolickiego punktu widzenia.

ZWIĘKSZYĆ CZUJNOŚĆ WE WŁASNYCH SZEREGACH

Postulując skoncentrowanie uwagi przede wszystkim na podniesienie poziomu własnych szeregów, poddał Horodyński krytyce niedomagania, jakie można od czasu do czasu zaobserwować na odcinku niektórych pozycji wydawniczych: „Publikacje, mówił, które przed pięćdziesięciu laty w ustroju feudalnym spełniały swą rolę, a do dziś nie potrafiły zmienić tonu, ani sposobu wypowiedzania się, są dla nas kulą u nogi w walce o poszerzenie zakresu aktywności kulturalnej katolików”. W końcu partii swego przemówienia wysunął Horodyński dwa konkretne dezideraty: „Primo: musimy doprowadzić do regularnych i częstych konferencji redaktorów naczelnych wszystkich pism katolickich i

wszystkich wydawców w celu omawiania krytycznego dotychczasowych publikacji. Secundo: poglądy nasze w sprawie polityki kulturalnej katolików, a w szczególności w sprawie wszelkich publikacji katolickich powinniśmy przedłożyć Episkopatowi Polskiemu”.

O CZUJNOŚĆ DOKTRYNALNA

Ten fragment przemówienia Horodyńskiego, który dotyczy pewnych analogii u katolików i marksistów w przypisywaniu sztuce roli służebnej — wskutek nie dość jasnego sformułowania spowodował krytyczną, a właściwie uzupełniającą replikę profesora Konrada Górskiego. W swojej pięknej, zarówno pod względem merytorycznym, jak i formalnym wypowiedzi, uczony toruński przestrzegając przed niebezpieczeństwem zamazywania konturów wyznawanego światopoglądu: „Chodzi o wycieniowanie pojęć. Kiedyś za młodu byłem artylerzystą i wiem, że jak celownik nastawić źle o ułamek milimetra, to pocisk pada o parę kilometrów dalej lub bliżej celu. Tu też chodzi o celownik...”

ZEJDZMY Z KSIĘŻYCA

O konieczności uaktywnienia ideologicznego współczesnej literatury katolickiej przekonywał zebranych z właściwą sobie swadą Zygmunt Lichniak: „Do tej pory, poza nielicznymi wyjątkami, wszystkie niemal utwory są próbą określenia człowieka „w ogóle”, kultury „w ogóle”. Ta ogólnikowość jest słabością, zmniejsza konkretny wpływ konkretnych dzieł na konkretny układ stosunków międzyludzkich... Niechęć do tematyki współczesnej tłumaczy się nie tylko obiektywnymi trudnościami wewnętrznymi pokolenia, które współczesną literaturę katolicką tworzy. Pokolenie młodsze zwolnione raczej z tych trudności dodatkowych jeszcze się właściwie nie ujawniło, chociaż wiemy, że istnieje i tworzy. Krytyka literacka, która interpretowała i mobilizowała literaturę katolicką choruje na brak ludzi. Z tej specjalnie ostro sformułowanej diagnozy wynikają, moim zdaniem, następujące wnioski:

1. Trzeba stworzyć stałą płaszczyznę porozumienia między wszystkimi twórcami katolickimi dla zagwarantowania im wymiany doświadczeń, sądów i propozycji pisarskich.

2. Trzeba stworzyć stałą płaszczyznę porozumienia między pokoleniem ustalającym kształt współczesnej literatury katolickiej a pokoleniem, które stanowi jej niewykorzystany dotąd potencjał ludzki.

3. Wykorzystując obydwie płaszczyzny kontaktów należy w sposób zasadniczy i rozstrzygający przedyskutować stosunek pisarzy katolickich do tematyki współczesnej.

4. Trzeba rozwiązać w sposób możliwie konkretny przez zespoły redakcyjne, czy na innej drodze problem nowej kadry krytyków i recenzentów katolickich.

Wojciech Zukrowski zajął się tą dziedziną twórczości katolików, którą Lichniak potraktował nieco pomocno, a mianowicie powieścią o tematyce współczesnej: „Zachodzi konieczność, by krytycy zrozumieli odrębność naszych światopoglądów i płynące stąd konsekwencje, które w żadnym wypadku nie kolidują z postulatami współczesnej polskiej racji stanu”. Tymczasem, zdaniem Zukrowskiego, powieść współczesna, która wychodzi spod pióra katolickiego pisarza jest atakowana przez krytyków niemal wyłącznie za katolicką „skazę”. „Jeżeli pisarz katolicki, w pełni realizując porozumienie, ma dać trwały wkład w budowę ustroju socjalistycznego, musi mieć możliwość swobodnej interpretacji otaczającej go rzeczywistości... Nie jestem członkiem zespołu „Dziś i Jutro”, obecność moja na zebraniu, jak i obecność wielu katolików z innych środowisk, jest dowodem, że linia działania tego zespo-

łu, zaznaczam, nie doraźnej taktyki, ale jego stanowiska w sprawach politycznych i społecznych jest słuszną i potwierdzoną pięcioletnim doświadczeniem. Jednak obecność nasza na tej konferencji nie wystarcza, trzeba przystąpić do konkretnej działalności z pełną świadomością. Uważam, że delegacja czy komisja, wybrana spośród pisarzy katolickich, powinna omówić i ustalić warunki, kierunki rozwojowe wydawnictw katolickich oraz zdecydować i zadeklarować gotowość pełnej służby wobec konkretnych zagadnień, które stawia przed nami Plan Sześcioletni i doraźna potrzeba sytuacji politycznej”.

POSTULATY I OSIĄGNIĘCIA

Podobna troska o rozwiązania konkretne przebiegała z wypowiedzi przedstawiciela świata wydawniczego, p. Zbigniewa Kuthana oraz ze słów reprezentanta plastyki katolickiej, p. Marka Kononowicza. P. Kuthan wysunął sugestię zapoznania Episkopatu z przebiegiem konferencji w związku z ewentualnym rozpatrywaniem katolickich potrzeb wydawniczych. P. Kononowicz, ubolewając nad katastrofalnym stanem naszej sztuki kościelnej, wystąpił z konkretnym wnioskiem stworzenia przy KUL specjalnego studium, które by dawało katolickim artystom wykształcenie nie tylko w dziedzinie literatury, ale też w dziedzinie czysto fachowej, jak, na przykład, malarstwo monumentalne, technika ścienna, czy też historia sztuki. Projekt ten spotkał się z pozytywną oceną uczestniczącego w konferencji prof. Andrzeja Woitkowskiego, który równocześnie poinformował uczestników Zjazdu o pełnym zaangażowaniu lubelskiej Wszechnicy w ogólnopolską akcję pokoju. Ze słów profesora Woitkowskiego wynikało jasno, że KUL, który po wypędzeniu Niemców z Polski pierwszy otworzył swe podwoje dla spragnionej wiedzy młodzieży akademickiej i dziś nie zaniedba żadnej okazji, ażeby zadokumentować swą wolę współtworzenia słusznego dzieła postępu.

NAGRODA „DZIS I JUTRO“

W przerwie konferencji Antoni Golubiew, jako przewodniczący jury Nagrody Im. Włodzimierza Pietrzaka, po dał do wiadomości zebrany nazwiska tegorocznych laureatów. Podkreślając znaczenie nagrody tego typu, jako swoistej legitymacji twórczości Antoniego Golubiewa uwypuklił dwa charakterystyczne dla tej nagrody momenty:

1. jej stałość (jest przyznawana trzeci rok z rzędu),
2. jej obiektywizm i uniwersalizm.

„Środowisko „Dziś i Jutro”, przyznając nagrodę, kieruje się interesem szerszym i ogólniejszym, niż własny, — mówił Golubiew. Świadczy o tym, — zdaniem mówcy, — chociażby nazwiska dotychczasowych laureatów. Są to ludzie różni, ludzie, którzy nie chcą drepnąć po utartych szlakach, każdy z nich wnosi coś nowego, a jednocześnie łączy ich jakaś więź zasadnicza”.

Res Sacra Miser

Postulowana w referacie wstępnym i uchwalona jako jeden z zasadniczych punktów rezolucji konieczność czynnego zaangażowania katolików w działalność nowego zrzeszenia „Caritas” zyskała rzetelną motywację w wypowiedziach prof. Leona Halbana oraz dyr. Jerzego Tymiańskiego. W przemówieniu długoletniego wykładowcy KUL było coś z apostołowskiego żaru, kiedy wołał o pierwszeństwo życia chrześcijańskiego, życia z poświęceniem dla innych — przed filozofią: „Musimy w tej organizacji zjednoczyć jak największą liczbę chętnych do pracy, tej żmudnej codziennej pracy. Tutaj realizacja zasad chrześcijańskich zbiega z potrzebami dzisiejszej rzeczywistości, jak zbiegała się właściwie z potrzebami każdej rzeczywistości każdej epo-

ki. Mówca nawoływał do rewizji XIX-wiecznego poglądu, utożsamiającego miłosierdzie z jałmużną. Wskazywał na konieczność nawrotu do klasycznego pojmowania tego obowiązku, który zdaniem lubelskiego uczonego, już na początku XIII-go wieku zaczął być opacznie pojmowany.

MIŁOSIĘDZIE NIEZDEZAKTUALIZOWANE

Dyrektor Tymiański, którego referat był przede wszystkim formą sprawozdania z dotychczasowej działalności zrzeszenia „Caritas” cofnął się na chwilę do niedawnej przeszłości, do zmian zaszytych na odcinku katolickiej akcji charytatywnej: „Fakt ten — mówił — musiał wywołać i wywołał w katolickiej opinii społecznej wstrząs ogromny. Fakt ten stał się dla jednych polityczną sensacją, dla wielu bolesnym i niespodziewanym przeżyciem, dla wszystkich jednak uczciwych ludzi moment ustanowienia zarządu przy musowego nad zrzeszeniem „Caritas” był chwilą, w której musiano sobie postawić pytanie: co dalej? Co dalej, nie z „Caritatem”, lecz z tymi wszystkimi, dla których „Caritas” był przeznaczony?” „Dużo można przewidzieć, wiele zaplanować — mówił Jerzy Tymiański — tylko nieszczęścia ludzkiego, jego ogromną różnorodność form przewidzieć nie można”.

KONKRETNY SPRAWDZIAN REALNOŚCI POROZUMIENIA

Przechodząc do problemów aktualnych dyrektor Tymiański przytoczył cyfry, ilustrujące w sposób wymowny ilość zadań wypełnionych i czekających na podjęcie: „Jesteśmy w trakcie opracowywania statutu nowego zrzeszenia, które chcemy zmienić w wielką organizację społeczną, dynamiczną katolików polskich, dającą im bezpośredni i istotny wpływ na działalność własnej organizacji, zarówno w sensie rządzenia nią, jak i w zakresie kontroli jej działalności. Liczymy na współpracę duchowieństwa, któremu Episkopat umożliwi zgodnie z zasadami i praktykami Kościoła Katolickiego działalność w zrzeszeniu „Caritas”... Zrzeszenie „Katolików „Caritas” czeka na ludzi dobrej woli o należytych kwalifikacjach z właściwym wyszkoleniem moralnym, którzy uczynią zeń organizację, będącą konkretnym sprawdzianem realności porozumienia między Kościołem a Państwem i którzy jednocześnie potwierdzą, czynem wielką prawdę: Naprawdę żyje, kto bliźnim nie służy”.

Młodzież katolicka

Janusz Zabłocki mówił imieniem tego pokolenia młodych katolików, które w swojej ogromnej większości widzi konieczność historyczną ustroju socjalistycznego i zarazem wieczną ponadczasową misję Kościoła, które zatem naczelnym problem dzisiejszych czasów upatruje we wprowadzeniu chrześcijaństwa w świat socjalistyczny:

„Nie weszliśmy w życie z gotową koncepcją ideowo - polityczną. Koncepcji tej dopiero szukamy i wypracowujemy, nierzadko z wielkim trudem. Zostając wierni katolicyzmowi, zajmujemy zarazem postawę, nacechowaną daleko idącym radykalizmem społecznym i chcemy współuczestniczyć w budowie powstającej nowej formacji społeczno - gospodarczej. Konflikt, który przeżywa cały katolicyzm dzisiejszy u nas przejawia się specjalnie ostro i boleśnie.

Toteż zawarcie porozumienia powitaliśmy z gorącą aprobatą. Porozumienie było w dużej mierze autorytatywnym potwierdzeniem tego stanowiska, które było oddawna stanowiskiem naszym. Wiadomość o porozumieniu przyjęliśmy z całą świadomością wagi tego aktu, nie tylko w skali polskiej, ale i ogólnoswiatowej, choć wiemy, że może nieprędko wyda owoce. Zarazem przyję-

liśmy ją z uczuciem głębokiej dumy: dumy płynącej stąd, że na tym trudnym odcinku historii mamy za przewodników duchownych ludzi, którzy mieli odwagę powzięcia takiej decyzji mimo wszystkich oporów i okoliczności jej towarzyszących: dumy, że to właśnie katolicyzmowi polskiemu przypadło w udziale zaszczytne zadanie tworzenia drogi w formację społeczno-gospodarczą przyszłości”.

NOWE PERSPEKTYWY

Z kolei Janusz Zabłocki omówił dobrane konsekwencje, jakie wynikają z Porozumienia dla młodzieży studiującej na wyższych uczelniach:

„Porozumienie przyczyniło się do stworzenia na terenie akademickim pewnych odcinków wspólnej pracy ze studentami innych światopoglądów. Mam na myśli nową ogólnostudencką organizację Zrzeszenie Studentów Polskich powołaną do życia przed kilku tygodniami. Do władz naczelnych Zrzeszenia, pragnącego dotrzeć do najszerszych mas akademików, powołanych zostało kilku przedstawicieli młodzieży katolickiej. Opierając się na tym procedensie katolicy powinni wziąć udział w pracach tworzącego się Zrzeszenia na niższych jego szczeblach, przede wszystkim na szczeblach Komitetów Uczelnianych. Chciałbym, aby to wzwanie było zrozumiane w sposób właściwy. Do ZSP winniśmy wejść nie po to bynajmniej, aby prowadzić w nim jakąś działalność frakcyjną, ale po to, by czynnie współuczestniczyć wraz z kolegami innego światopoglądu w realizacji tych zadań, które wyznacza jego statut. Jeżeli katolik angażujący się w prace ZSP powinien mieć jakiekolwiek ambicje, to musi być to jedynie ambicja przodowania w pracy nad tymi zadaniami, ambicja pracowania wydatniej i lepiej. Tylko tą drogą możliwe jest przeobrażenie otwierających się możliwości w stan trwały”.

MIT APOLITYCZNOŚCI

Jakkolwiek w atmosferze konferencji nie dałoby się w sposób wyraźny ustalić jakichś jawnych tendencji do tradycyjnych sporów pokoleniowych, jednak zarówno w wypowiedzi Mikołaja Rostworowskiego jak i w wystąpieniu Zygmunta Lichniaka można byłoby uchwycić pewną nutę wyrzutu, skierowaną pod adresem tego, nielicznego na szczęście, odłamu starszego pokolenia, który nie zadaje sobie trudu rezygnacji z upodobania do pozycji „wspaniałego odosobnienia”.

Mikołaj Rostworowski starał się nawiązać konsekwencje praktyczne i aspekt moralny wyżej scharakteryzowanej postawy: „Przyznam się szczerze, że trochę mnie zaniepokoiła atmosfera nefrasobliwej sielanki jaka przebiega w niektórych przemówieniach. Węszę w niej możliwości nawrotu do bynajmniej niechlubnych tradycji „wszystko jednemu”, beztrudnego „kochajmy się”, nie mającego nic wspólnego z postawą rzetelnej jedności, która powinna wszystkim nam towarzyszyć. Zbyt uciążliwa i żmudna była droga wiodąca do Porozumienia, żeby jego zawarcie kwitować dziś, nieobowiązującym frazesem o „pozytywnym stosunku”, o łaskawej zgodzie wyrażanej z księżycowych wyżyn jakiejś nieskalanej ziemskim pyłem postawy „obiektywnej”. Znamy jej rzeczywistą motywację. Mówił o niej przed chwilą Paweł Jasienica, kiedy wskazywał na naczelną, jego zdaniem obowiązek walki z mentalnością pani Dulskiej, której to pani religią był strach przed tym co ludzie powiedzą.

Zespół, który reprezentuję, pragnął i pragnie służyć sprawie jedności obozu katolickiego. Ale my nie chcemy jedności kłajstrowanej. I dlatego nie godzimy się, kiedy jeden z dyskutantów nawołując do „kochajmy się” zda je się jednocześnie sugerować, że ponieważ nigdy się nie wie, która kon-

(dokończenie na str. 11-tej)

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA



PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY

Jan Dobraczyński

Listy Nikodema

LIST DWUDZIESTY PIĄTY

Zamieszczony poniżej „Dwudziesty piąty list Nikodema” należy do projektowanego przez autora cyklu, którego inne fragmenty były drukowane w „Dziś i Jutro” i „Słowie Powszechnym”. Dobraczyński dąży świadomie do stworzenia nowoczesnego apokryfu czyli opowieści literackiej, zbudowanej wokół faktów historycznych, znanych z Pisma Świętego. Dlatego właśnie autor musiał wprowadzić pewną dozę fikcji literackiej, aby uzupełnić według swojej intuicji pisarskiej te elementy, które źródło historyczne pozostawia w cieniu. „Listy Nikodema” mają być próbą ujęcia dziejów Chrystusa i pierwszych lat Kościoła, obciążonych oczyma znanego z Ewangelii Nikodema.

Red.

Drogi Justusie.

Już zacząłem myśleć, że się niczego nie doczekamy!

Codziennie schodziliśmy się na wspólną modlitwę i codziennie, klęcząc półkręgiem, wokół miejsca, gdzie tak niedawno widzieliśmy Go znowu żyjącego błagaliśmy w napięciu o obiecaną pociechę. Naprawdę, naprawdę! Znasz na pewno, stan człowieka, który do ostatka swych sił błagał o coś, lecz to coś nie zostało mu przyznane: jest w nim wtedy świadomość nie goryczy nawet, lecz pustki. Wydaje mu się, że wszystko jest obojętne, że zło czy dobro, które się ma stać, niech się już stanie, *było tylko przed*, *byłoby się wreszcie skończył* czas wyczekiwania... Coraz dalej byliśmy od dnia Odejścia. Jego chwala zacierała się w nas z każdą godziną. Nie ma cudu, który by trwał wiecznie. Obrazy w naszych oczach zacierają się z wolna, palce naszych rąk porasta nowa skóra. Nie ma nic, co by nas zdołało przekonać raz na zawsze. Modliliśmy się... Czy ja wiem zresztą z jakim uczuciem modlił się każdy z nich? Ich uczucia są inne. Ale moje uczucia były uczuciami rosnącego smutku. Nie, to nie był powrót zwątpień. To było coś zupełnie nowego: świadomość opuszczenia...

Jezu, myślałem, teraz nie wątpię. Wiem, że jesteś Bogiem. Tylko Bóg mógł zmartwychwstać i wstąpić w niebo. Ale okazawszy nam Swoją Boskość — odszedłeś. Przebywałeś między nami niedostrzegalnie, a potem na moment błysnąłeś, jak ów bożek pogański, który uchylił chustkę zakrywającą mu promienną twarz. Błysnąłeś i — zniknąłeś. I nie ma Cię znowu, jak nie było Cię poprzednio. Co nam zostało po Tobie? Wspomnienia... Cóż to są wspomnienia? Czyż można żyć tylko wspomnieniami? Życie jest drogą naprzód. Zła jest ona czy dobra, cel jej musi leżeć przed nami. Zresztą ja nie mam wspomnień... To oni je mają. Ale dla mnie i dla ludzi jak ja, po cóż się było odkrywać, skoro wszystko miało powrócić do tego, czym było na początku? Jezu, Panie wielkości, zwyciężyłeś śmierć, ale nie zwyciężyłeś jej w nas. Jesteśmy wciąż ciągnąc umieraniem. Człowiek nie urosł urośnięciem swego Boga. Ci, co byli cały czas z Tobą, rzucili się na kamień, na którym pozostało odbicie Twoich śladów i zaczęli go całować. Dla nich, którzy Cię tak kochali, wystarcza ślad. Oni naiwni myślą, że tym

można wypełnić życie. Ale ja, niestety, nie jestem naiwny. I ja — nie kochałem Ciebie. Podziwiałem Ciebie, szanowałem, wierzę w Ciebie. Nie wolno mi jednak powiedzieć, że Cię kocham. Wstrząsnąłeś mną jak huragan domem: porwałś z węglów i osadziłeś na nich z powrotem, ale tak jakoś inaczej, że już nie mogę się czuć tym, kým byłem. Jest we mnie niepokój, niepokój niezaspokojenia... Potrzeba mi Cię czuć... Gdy jestem samotny muszę się kogoś dotknąć: przyjaciela, kobiety, bodaj psa. Poczuc żywą istotę koło siebie. Choć wiem, że to jest nic... Przyjacieli nie rozumie wszystkiego, kobieta — będzie chciała, aby ją z kolei pocieszał i przejmował się jej smutkami, pies — pies odejdzie zachęcony szczekaniem innego psa... To są krótkie złudzenia, ale ja idę za nimi. Ty jednak nie dajesz mi nawet złudzeń. Nie mówię o nich. Oni byli szczęśliwi, wybrani. Mnie nie wybrałeś. Przeszedłem sam. Łękiwie w czarną noc bez gwiazd i bez księżyca zapukałem do Twoich drzwi. Był wiatr, który zrywał się, dał przez chwilę potem opadać i gdzieś zniknął. Gałęzie drzew szumiały nie spokojnie. Mówią, że wiatr sprawia, iż drzewa rosną szybciej, że nawet zboże staje się silniejsze, gdy je częściej powiew od Wielkiego Morza... Ty także mówiłeś wtedy o wietrze. „Słyszysz, rabbi, ten wiatr? Wieje on gdzie chce...” Wiele razy potem przypominałem sobie Twoje słowa. Westchnąłem głęboko i ten wiatr, zda się, wtargnął we mnie... Ale to ja sam przyszedłem. Prawda — nie dałem Ci zbyt wiele. Nie byłem jak oni, którzy rzucili domy i wszystko, i poszli za Tobą. Ja Ciebie przyjmowałem zawsze połową serca. Ale gdybyś mi był powiedział... Jestem człowiekiem, który oczekuje jasnego, wyraźnego słowa. Wezwania. Do końca nie wiedziałem czy Ty mnie naprawdę chcesz. Pamiętasz — także na drodze do Emaus doszedłeś do nich właśnie wtedy, gdy ja zostałem? Wobec mnie zawsze pozostawałeś daleki...

Tak rozmawiałem z nim, Justusie; lecz On milczał. Był teraz Bogiem na wysokości. Kiedy chodził po ziemi zdawał się płakać z każdym płaczącym. Ale nie traci się łez, kiedy się przebywa w niebie! Gdy odlatywał, oni stali z oczami podniesionymi w górę, z wyrazem radości w twarzach. Dla nich to był ich Mistrz, który teraz stawał się jawnie Bogiem. Zbyt są prostoduszni, aby przypuszczać, że po paru dniach zaczyna wdychać, jęczeć, bać się na nowo. Ja to wiedziałem od razu. Póki był, póki zjawiał się niespodziewanie, pót Duch a pół żywy Człowiek, wszystko wyglądało łatwo i pięknie. Zbyt łatwo i zbyt pięknie! To był niby okres opieki nad człowiekiem chorującym. Ale chory został uznany za zdrowiałego. Bóg odszedł. Zostawił nas z obietnicą, której nie pojmowaliśmy. Gdyśmy wstawali od modlitwy ze zdrgniętymi kolanami, rozpoczynały się zaraz rozmowy: jak to będzie? co się stanie? kto będzie tym, który ma przyjść? może to On sam zstąpi po raz drugi na ziemię, lecz tym razem w mocy i w chwale? Jak będzie wyglądała obiecana pociecha? Szymon wykrzyknął: „a ja wam powiadam, że On teraz przyśle aniołów, a ci odbudują królestwo Izraela! I narodzi się drugi

Dawid...” Przyjęliśmy to szmerem, w którym przeważał ton uznania. Tomasz zauważył: „Oczywiście jeśli mamy być Jego świadkami aż na krańce ziemi, On musi wprawdzie tę ziemię uczynić nam poddaną...” „Lecz pamiętajcie co powiedział, że Królestwo jest w nas...” — wtrącił zamysłony Jan. „To prawda — odezwał się Filip, — ale gdy chcę dać drugiemu, co jest we mnie, muszę mówić. A spróbuj wyjść i nauczać; Zaraz cię schwyta straż świątyni i zaprowadzi do arcykapłana...” Gdy to powiedziało wszyscy spojrzeliśmy odruchowo na ciężką belkę zapierającą drzwi. Niepokój, który zasnął w dniach powrotu Zmartwychwstałego, znowu się ostatnio obudził.

Nie zabierałem głosu, nie mówiłem nic. Oni Go znali dobrze, pamiętali tyle Jego słów, mogli się na nie powoływać. Moje wspomnienia są skromne. Ta jedna długa, całonocna rozmowa, kilka krótszych. Powracałem myślą do tamtej chwili sprzed paru dni gdy staliśmy na szczycie góry Oliwnej, On zaś prześwietlony blaskiem, jak obłok za którym ukryło się słońce, unosił się w górę. Jeszcze zdawało mi się, że słyszę Jego słowa: „dostaniecie moc...” Moc? Czym ona będzie? Czy przemiana w losach świata, która sprawi, że nagle przestaną być dla nas groźni wielkie rada, Sandehryn, arcykapłan. Piłat, legaci rzymscy, tetrachowie, daleki cesarz?

Uczniowie zapalali się dyskusją. Tylko Ona milczała. Czy wiedziała coś więcej niż oni o tym, co się miało stać? Ostatni Jej krzyk bólu rozległ się tam na górze. „O Synu, zawołała, jeszcze raz chcesz Mnie opuścić? Zabierz mnie, zabierz, nie zostawiaj...” Rzuciła się do Jego kolan, On zaś pochylił się nad Nią, coś do Niej powiedział cicho, jak zwykli ze sobą rozmawiać, twarzą przy twarzy. Gdy skończył osunęła się niżej, padła twarzą do Jego stóp. Nie podniósł Jej jak syn matkę; odstąpił jak Bóg, który rozkazał i odchodził. Nie zaszlochała nawet. Powstała z ziemi i stała cicho w kole innych. Może znowu Jej rzekł, wskazując na otaczających Go uczniów: oto matka, siostry i bracia Moi... Potem, gdy już zniknął, podeszła razem ze wszystkimi do śladów na kamieniu, uklękła, pocałowała skałę zbiałymi wargami. Kobiety i Jan podbiegli, aby ją pocałować. Ale Ona potrząsnęła głową. Szła sama w dół, nie jak wówczas z Golgoty, gdy po ścieżce trzeba ją było prawie wlec, ślepą od łez. Wysoka jak Syn, gdy idzie wyprostowana góruje głową nawet nad wieloma mężczyznami. Twarz Jej wydawała się jak skamieniała. Zstępowała niby zsuwający się pe sag. Lecz to trwało tylko parę kroków. Nagle zatrzymała się. Zaczęła na uczniów, którzy szli z tyłu. Podniosła ręce, jakby ich chciała we wszystkich objąć podobną kurczę, która nakrywa skrzydłami kurczęta. „Chodźcie dzieci...” — rzekła. Wyraz bólu zapadł w głąb, pokryła go wielka, gorąca serdeczność. Ogarnęła wzrokiem wszystkich, także mnie. Pójdziemy się razem modlić i razem w modlitwie będziemy czekali...” Posłusznie podążyliśmy za Nią. Ona taka cicha, tak niedostrzegalna cały czas, gdy chodziła śladem Syna, teraz obejmowała jakby we władanie naszą gromadkę. Scho-

dziiliśmy w dół ku ogrodowi Tłoczni Oliwnej. Tu się na dole zaczęło, myślałem, tam, na górze skończyło... Wszystko na jednej górze. Naprzeciw po drugiej stronie doliny złota, biała i dumna paliła się w słońcu świątynia na szczycie Moriah. Góra Oliwna była zielona. Tam był kamień i złoto, tu liście i centki cienia, tam historia, tu życie... Prowadziła nas między drzewa, w zielony parów Cedronu, przez potok, który płynie zamierającą wąską strużką między zbiałymi kamieniami, ku bramie, dyszące żarem i wydłudnione, dyszące żarem i oczekiwaniem nowych pielgrzymów. To Ona mówiła teraz każdego dnia: uklękniemy i módlmy się. Klęcząc kręgiem uderzaliśmy na niebo. Pierwszego dnia byliśmy pewni, że modlitwa nasza przyniesie natychmiastowy skutek. Ale dziewiątego dnia nie wiedzieliśmy już co mamy o tym sądzić, nie było odpowiedzi! A przecież tak dłużej modlić się nie byliśmy w stanie. Życie jest życiem. Można żyć i modlić się, ale nie można bez końca modlić się i nie żyć. Myśmy zaś modlili się i nie żyli. Za murami wieczernika wydłudnione miasto poczęło narzmiewać znowu ruchem i hałasem. Nadeśli pielnicy, wracali ludzie z pól, spaleni od słońca, ubrani w kłosa i w kiście. Przeciagali ulicami ze śpiewem. Myśmy modlili się, modlili, aż do utraty tchu. Ale modlitwa przychodziła z coraz większym brudem. Życie dobiegało się do nas dźwiękami z poza ścian. Pukało. Czuliśmy, że nie ustąpi. Trzeba będzie znowu jakoś żyć — upor-

czywa myśl wciskała się pod czaszkę. Jakoś żyć, jakby wszystko co się stało, nie było się nigdy wydarzyło. Bóg przeszedł przez ziemię, ziemia jednak pozostała ziemią. Za parę lat, przychodziło mi do głowy, będzie się nam może tylko zdawało, że tak było...

Oni, myślałem z zazdrością, pogodzą się z tym. Tyle przeżyli, że to im wystarczy aż do śmierci. Ale ja nie przeżyłem tego co oni! Prózno wyciągałem ręce do wina, które oni pili przez dwa z górą lata. Im coś zostało! Mnie nic! Ostatni dźwigałem się z kolan. Życie przystępowało coraz bliżej, ale ja nie mogłem sobie wyobrazić, jak do niego powrócę.

Wtedy spoglądałem na Nią. To była jedyna pociecha, jedyna nadzieja. Oni wspominali, roztkliwiali się nad tym co było. Byli znowu w Galilei. Ona nie wracała nigdy teraz do przeszłości. Modliła się o przyszłość. Patrzyłem na Nią, Ona zaś czując mój wzrok, podnosiła na mnie wzrok i uśmiechała się lekko. Wydawało mi się, że Kobieta rozumie moje utrudzenie, lecz tym uśmiechem zachęca mnie jeszcze do odrobiny wysiłku. Wracałem do modlitwy. Z nateżeniem powtarzałem: „Panie, zeslij co obiecałeś zesłać. Prędzej zeslij... Można było na Twoje przyście czekać przez wieki. Nie dłuży się czekanie na Nieznanego. Ale gdyś dał usłyszeć Swoją głowę — dalsze czekanie jest już nie do zniesienia. Dziewiąty dzień minął i nie ma! Dziewięć dni! Czy Ty to rozumiesz, jak to jest wiele? U Ciebie tysiąc lat jak jeden dzień. (dokończenie na str. 10)

MIKOŁAJ ROSTWOROWSKI

Sedno liryki

*Ty jesteś czas — strumienna pora,
ten sam przystanek w ekspresu oknie.
I ciągle jeszcze żrenice moje chore
na błędne ognie.*

*Uboga podróż: z katarzynką...
A tu by trzeba z nagłą runąć
napadem ust i żywych synkop
burzą oskrzydlać ramion struny.*

*Zapalać bunt jak drwał chrust w krajobrazie,
zbudzonej krwi rebelię szorstką.
Aż własny płomień cię przerazi
zórz chłodnych siostró.*

*W poblasku łuny dojrzyś ziemię
jak koral śpiewającą czułość,
z której jest lont i kwiat i brzemie
i ramię co twój sen rozkuło.*

*I jedna jesteś: Ty.
Ja?... jestem człowiek Każdy:
Notuję lzy,
trwonie gwiazdy,
dniom jak panienkom
gram do taktu,
nagłą piosenką
ścigam traktor.
Ja — pilot, kiedy śmigło muci,
przodownik, gdy muzyka w hucie,
dźwięczny niepokój, sygnał, skra,
ja.*

*Bogata podróż: z katarzynką.
I oto niose pełne wiadra
lirycznych kłamstw, martwego tynku,
którym uszczelnię gmach bez światła.*

*Bo jesteś prad. Te oczy właśnie
tak bardzo jedne, że innych nie znam.
Gmach i piosenka nie mogą bez nich jaśnieć.
Daleka i bezgwiezdna!*

O TWARTA w marcu I Ogólnopolska Wystawa Plastyki roz poczyna swój objazd po kraju. Wystawa ta, jak i odbyty w końcu kwietnia dyskusyjny zjazd artystów z całej Polski, w którym wzięli również udział teoretycy sztuki i goście zagraniczni — to dalsze akordy trwającej od połowy 1948 roku walki ideologicznej marksistów na terenie sztuki, walki toczonej o postawę ideologiczną artysty i o wyraz tej postawy w twórczości. Formalno-artystycznym wynikiem tych zmagani ma być plastyka zgodna z nakazami socjalistycznego realizmu. Oparta o tematyczne założenia wystawa winna stanowić, w myśl intencji jej organizatorów, przełom w sztuce polskiej, jest więc wydarzeniem ogromnej wagi dla przyszłości naszego życia kulturalnego i szeroko powinna być omówiona i przedyskutowana. Istotnie, żadna z dotychczasowych imprez plastycznych nie nabrała takiego rozgłosu.

Nim jednak przejdę do omówienia samej wystawy, sądzę, trzeba trochę się zastanowić nad tym, skąd w plastyce zjawia się problematyka tak bezkompromisowo stawiana malarzom w 1950 roku.

TROCHE „ADAMIZMU“

Trudno, lecz czasem trzeba zacząć od Adama i Ewy.

Potrzeby twórczości plastycznej człowieka są prawicowe, lecz nie tylko style ale i rodzaje tej twórczości są historycznie zmienne. Człowiek starożytny malował właściwie wyłącznie — poza ornamentyką — mity religijne i bohaterkie oraz świat zwierzęcy. W jednych kulturach rozwijało się przede wszystkim malarstwo ściennych, w innych mozaiki czy ozdabiające wazy. Malarstwo stalugowe zjawiało się bardzo późno, u początku wieków średnich. Przez okres średniowiecza tematyka ograniczona była ściśle do religijnej. Było to malarstwo portretowe; później zjawiały się portrety świeckie. Odbiorcą były instytucje kościelne, potem zamki. Renesans rozluźnia konwencje artystyczne, zjawia się tematyka obyczajowa, kraj obrazowa i martwa natura. Lecz gdybyśmy chcieli oprzeć podział malarstwa na kryteria treści — tak jak to uczynił na ostatniej dyskusji prof. Juliusz Starzyński — to przy pomocy takiego podziału możemy omawiać malarstwo dopiero od baroku, dopiero od tego okresu różne rodzaje tematyki są sobie równorzędne. W renesansie panuje jeszcze scena religijna czy bohaterka oraz portret, Mecenat, od renesansu coraz bardziej świecki, o coraz innych wymaganiach, przechodzi w wieku XIX w ręce zwycięskiej klasy mieszczańskiej. Około lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia we Francji, która już w wieku XVIII objęła po Włoszech i Niderlandach przewodnictwo w sztuce europejskiej, rodzi się w malarstwie ruch, który wpływa decydująco na kilkadziesiąt następnych lat w dziejach sztuki i do dziś wywołuje najbardziej sprzeczne sądy. Ruchem tym jest impresjonizm, który jako zjawisko artystyczne, czy to w swej kontynuacji czy też w sprzeciwie jaki budził, stał się przyczyną sprawczą wszystkich następnych „izmów“, jak ekspresjonizm, kubizm, surrealizm, abstrakcjonizm i inne. Impresjonizm przypadkowo stał się ojcem tych „izmów“ — coraz dalej oddalających się od realistycznej wizji przedmiotu. Ten wielki kierunek sztuki był zdaniem jego twórców wynikiem naukowej postawy w stosunku do widzianego świata. W odróżnieniu do klasyków, romantyków czy ówczesnych realistów, impresjoniści

— niewątpliwie odkrywczo — twierdzili, że nie ma barw samych w sobie, że kolor zmienia się w zależności od tego z jakim kolorem sąsiaduje, że trzeba poznać dokładnie prawa fizyczne, aby oddawać światło i barwę takimi jakimi one są, że klasyczne akademickie malarstwo dalekie jest od rzeczywistości. Z tych to powodów w niektórych encyklopediach impresjonizm nazywany jest kierunkiem naukowym.

Późniejsze „izmy“ zajmując się bądź wyłącznie barwą, bądź wyłącznie bryłą, linią czy też harmonią układu abstrakcyjnych elementów, stawały się coraz mniej zrozumiałe, coraz bardziej „sztuką dla sztuki“. Wszystkie te kierunki w latach trzydziestych uznane zostały przez krytykę radziecką za dekadentcki produkt epoki imperializmu służący celom tegoż imperializmu. Postawiono postulat odcięcia się od tych kierunków i w okresie ostatnich lat rozpracowana została koncepcja realizmu socjalistycznego.

REALIZM SOCJALISTYCZNY

W pierwszych porewolucyjnych latach plastyka radziecka opanowana była przez kierunki określone dziś jako formalistyczne. Długo zwalczała Partia „proletkultowców“ i wpływ grupy „Bubnyj walet“, właściwie momentem zwrotnym jest zjednoczenie w 1923 różnych związków plastycznych

Ideologiczne bazy realizmu socjalistycznego określili precyzyjnie Gorkij i Żdanow. Potępiona została „sztuka dla sztuki“, jak i wszelka bezprzedmiotowość w malarstwie.

„Zadaniem sztuki jest wychowanie nowego, lepszego, przygotowanego do wszystkich wielkich zadań pokolenie młodzieży. Sztuka realizmu na ma być sędzią świata, taka postawa da artystom prawo do bezpośredniego udziału w procesie przemiany życia, w kształtowaniu nowego“ — mówił Gorkij. Zjawiał się więc postulat treści, postulat przedstawiania człowieka w jego wysiłku budowania socjalizmu, w jego walce rewolucyjnej. Lecz nie tylko człowieka takiego jakim jest, lecz i takiego jakim być powinien. „Należy orientować się na przyszłość“ — pouczał Gorkij. W sensie formalnym plastyka radziecka nawiązała do okresu przed impresjonistycznego, do realizmu do możliwie czytelnej treści. Według teoretyków socjalistycznego realizmu zasadniczą cechą różniącą ten kierunek od naturalizmu jest świadomy, oparty na ideologicznych przesłankach, wybór przedstawianych realistycznie elementów rzeczywistości i ich świadoma kompozycja, zgodna z tym co chce się powiedzieć, podczas gdy naturalizm oddaje jakiś przypadkowy fragment tej rzeczywistości.

Uznanie za cel naczelny sztuki jej wychowawczą rolę, prowadzić musiało do zatarcia sztywnych granic między poszczególnymi rodzajami sztuki różniącymi się formalnie. Tak więc według krytyki radzieckiej między plakatem a malarstwem stalugowym nie ma żadnej przepaści, tak jak nie ma jej między propagandą a agitacją. Tak mocne żądania ideologiczne w stosunku do sztuki natrafiły w ZSRR na szczególnie podatny grunt. Plastyki radzieckiej mieli do czego nawiązywać. W drugiej połowie dziewiętnastego wieku, w czasie gdy we Francji artyści osiągnęli zdobycze czysto malarskie, w Rosji powstał potężny nurt malarstwa patriotycznego o kierunku wyraźnie postępowym i społecznym. Pod wpływem estetyków

Dominik Horodyński

POLITYKA

(Monolog na marginesie

Bielińskiego i Czernyszewskiego liczna grupa malarzy na czele z Riepinem, Surikowem, Pierowem, Makowskim, Maksimowem i innymi świadomie postawiła swoje zdolności w służbę wyzwolenych tęsknot narodu. Stworzyli oni wielkie obyczajowe malarstwo rosyjskie o tendencjach ludowych i głęboko ideowych. Do tego służebnego w postawie, rodzajowego w treści i realistycznego w formie malarstwa nawiązuje dziś socjalistyczny realizm radziecki.

W OCZACH NIEMARKSISTY

Całą sferę tych zjawisk, którą niemarksiści nazywają kulturą, marksiści określają mianem nadbudowy kulturalnej. W samym tym określeniu uwidoczniła się różnica marksistowskiego i niemarksistowskiego pojmowania istoty i roli kultury. Nie tu miejsce na rozstrząsanie tego kapitalnego problemu. Wystarczy jeśli przypomnę, że najważniejszą może konsekwencją koncepcji marksistowskiej jest stawianie twórczości kulturalnej określonych epoką celów społecznych. Dla marksistów nie ma sztuki nieklasowej i apolitycznej, obca im jest wszelka postawa estetyczna i autonomizowanie kultury.

Wychodząc z zupełnie innych założeń filozoficznych i innym służąc celom katolicyzm również odrzuca autonomię kultury. Dlatego Maritain tak charakteryzuje postawę katolicką wobec sztuki: „Sztuka ma za jedyny cel samo dzieło i jego piękno. Lecz dla twórcy dzieło zamierzone wchodzi do obrębu moralności i z tego tytułu jest tylko środkiem. Jeżeli by artysta brał za cel ostateczny swojej czynności, a więc za szczęście, tylko cel swej sztuki lub piękno dzieła, byłby wprost bałwochwalcą. Trzeba więc koniecznie, aby artysta jako człowiek pracował dla innej rzeczy niż swe dzieło, dla rzeczy bardziej ukochanej“.

Na pewno katolik i niekatolik, marksista i nie-marksista, jeżeli tylko posiada zmysł moralny, podpisze się pod zdaniem Prezydenta Bieruta: „Wolny od przesądów działacz naukowy i kulturalny, twórca i wychowawca, musi zdać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest praca robotnika i chłopca, wobec której jest on moralnie zobowiązany“.

Ta wspomniana wyżej, choć wynikająca z innych przesłanek i innym służąca celom, zbieżność w ustawianiu kultury w roli służebnej tak przez katolików jak i marksistów, powoduje czasami

zbieżność żądań formalnych. Jest rzeczą arcyciekawą, jak, pewnie postulat marksistowski odnośnie współczesnego malarstwa pokrywają się z najbardziej ortodoksyjnymi postulatami katolickimi. Dla przykładu powołam się na charakterystyczny artykuł ks. Jana Piwowarczyka (Tygodnik Powszechny Nr 6/255).

Jednym z naczelnych postulatów realizmu socjalistycznego jest walka z deformacją rzeczywistości. Mówiąc o malarstwie kościelnym ks. Piwowarczyk pisze:

„Przed trzema laty kongregacja rzymska — zdaje mi się Kongregacja Obrzędów — rozesłała po biskupach na całym świecie puczenie w sprawie sztuki kościelnej. Kongregacja ostrzegła w niej kler przed wprowadzeniem na teren kościoła „sztuki deformującej“. Nie sądzę, by trzeba było sze roko tłumaczyć, co należy przez te słowa rozumieć. Przez sztukę deformującą rozumiemy sztukę, która wykoślawia rzeczywistość (postać, scenę, krajobraz). Czy sobie można wyobrazić obraz ołtarzowy Matki Boskiej malowany manierą Picassa ze znanego jego „Portretu płaczącej damy“. A były i są ze strony artystów próby takiego właśnie „ozdabiania“ kościołów“.

Krytyka marksistowska żąda wprowadzenia człowieka, jako zasadniczego tematu twórczości ma-

wiać kompozycję „formalistyczną“ mało z tytułem mającą wspólnego. Na ten temat ks. Piwowarczyk pisze:

„Nie sądzę, by daleki od prawdy był ten, kto powiedział: — Fra Angelico malował na kłęczkach i w zachwycie przelewał na płótno wizję, którą miał w duszy, — nasi artyści zaś malują obrazy religijne, jakby chodziło o wybór między krajobrazem a sztuką figuralną... Jestem przekonany, że dobry obraz religijny namalować może tylko religijny artysta. Taki artysta, który wewnętrznie przeżywa religię. Technika, o której wyżej mówiłem znaczy wiele. Jeszcze więcej — duchowość artysty“.

Jeśli przytoczyłem tu przykłady podobnych żądań w odniesieniu do formalnej strony malarstwa, to nie po to, by zamazywać różnice, które są zupełnie podstawowe. Dla mnie osobiście przykład ten jest o tyle ciekawy, że wykazuje pod jak koncentrycznym atakiem dwóch całkowicie odmiennych światopoglądów znajduje się współczesne malarstwo zachodnie. Zaznaczyć jednak muszę, że opinie księdza Piwowarczyka na temat malarstwa, a nawet opinie Kongregacji, jako dotyczące „spraw wątpliwych“, nie są dla katolików wiążące, czego dowodem są choćby drukowane w tymże Tygodniku Powszechnym esseye Kisiele, namietnego obrońcy prawa do deformacji. Jest dla mnie sprawą otwartą, czy artysta niewierzący nie może namalować znakomitego portretu apostoła, „zgodnie z rzeczywistością“ i czy artysta głęboko wierzący nigdy nie będzie wyrażał swych przeżyć religijnych w abstrakcyjnej formie plastycznej. Nie wiem też, czy właśnie nie żądanie jak największej czytelności treści i jak największej zgodności formy z „rzeczywistością“, nie było jedną z kapitalnych przyczyn upadku i zbanalizowania współczesnej sztuki religijnej, przez konsekwentne usuwanie z niej wszelkich elementów niepokoju intelektualnego i tajemnicy. Uwaga ta ma zresztą czysto nawiasowy charakter.

Wracając do marksistowskich tez kulturalnych podkreślić trzeba trudności jakie napotyka próba polemizowania z nimi. Ogromny wysiłek marksistów w kierunku poszerzenia grona odbiorców sztuki ma w sobie silne piętno humanistyczne, a na tym etapie historii, sztuka, która ma być upowszechniana, musi być narzędziem mobilizującym w stosunku do tych celów, które dla marksistów są nadrzędne i rozumiała jest postawa rewolucjonistów podporządkowujących wszelkie szkielety aktywności ludzkiej służbie dla zwycięstwa rewolucji. Podciągnięcie najszerszych mas społecznych na wyższy szczebel kulturalny i włączenie ich w proces twórczy jest jednym z warunków zwycięstwa rewolucji. Masy zainteresować można tylko taką twórczością, którą one rozumieją. Konieczności te są oczywiste, tak jak oczywiste są zbieżności w rozumieniu tych obowiązków przez marksistów i nie marksistów. Ale również oczywistym powinien być fakt, że nie marksiści nieco inaczej od marksistów pojmują służbę interesom epoki. A właśnie w dziedzinie kultury stają nie-marksistami przed zagadnieniem szczególnie trudnym i złożonym.



Helena Cygańska-Walicka — W szkole

I SZTUKA

I Ogólnopolskiej Wystawy Plastycznej)

TAJEMNICA PIĘKNA

Co doprowadziło sztukę zachodnio-europejską do etapu, na którym jedna z jej manier sama określa się mianem „absurdyzmu”?

Każdy bezstronny obserwator przyznać musi że marksistowska ocena kapitalistycznego świata jest słuszna. Świat ten jest śmiertelnie chory i na pewno używa wszelkich środków do beznadziejnej obrony. Czy używa sztuki? Za pewne tak, lecz czy tej którą marksiści o tę rolę podejrzewają? Pewne maniery malarzkie szczególnie zohydzające świat i życie — subiektywnie może nie obciążające twórcę, bo zrodzone z jego zagubienia, z dramatycznej izolacji artysty w społeczeństwie kapitalistycznym — obiektywnie służą demobilizacji nastrojów rewolucyjnych. Lecz ustawienie na tej samej platformie należącego od wielu już dziesiątków lat do historii impresjonizmu i całego późniejszego okresu, tak bogatego, w jednostronne może, ale niewątpliwie zdobyte malarzkie, nie da się wytłumaczyć.

Sztuka zachodnia ostatnich kilkudziesięciu lat jest niesłychanie bogata. Kierunki najgroźniejsze i najmodniejsze, tzw. każdorazowo awangarda, obejmowała zawsze wąskie grono twórców. Co ciekawe, przedstawiciele wszystkich kolejnych „izmów”. To byli b. często tak jak Picasso ludzie skrajnej lewicy — w odróżnieniu od niego często głodem opłacający nowatorskie eksperymenty. To byli w Nowym Yorku „abstrakcyjni” „zarabiający gorzej od szanowanego przez bogate mieszczaństwo „pompiera”, który za drogie pieniądze maluje portrety rodzinne, wnętrza i krajobrazy z pałacami — wszystko „podobne” i gładkie. Wystarczy przejść się po paryskim Salonie Jesiennym, salonie uznanym przez burżuazję, aby zorientować się, jak bogata w kierunki jest sztuka francuska, jaka jest pozycja „nowatorów” i jak potężny jest tradycyjny nurt pompierski.

Mimo to jednak, nie sztuka tradycyjna a właśnie „izmy” uznane zostały powszechnie za tworzące współczesną historię malarstwa zachodniego. Dlatego chyba ponieważ odpowiadają one potrzebom estetycznym wyrafinowanej formacji społecznej. Na pewno nie odpowiadają potrzebom mas. Ale obecnością swoją sygnalizują nie tylko kryzys społeczny lecz też i kryzys samego malarstwa.

Minister Sokorski określa jako fałszywy i reakcyjny pogląd, według którego malarstwo rozpoczęło marsz na kierunek abstrakcyjny z konieczności, ponieważ wynalezienie i doskonalenie fotografii artystycznej a potem filmu kolorowego zmusiło twórców do szukania nowego wyrazu plastycznego, gdyż konkurowanie w ścisłym oddawaniu rzeczywistości z aparatem fotograficznym miało się za celem. Osobiście myślę, że sprawa nie jest tak jednoznaczna. Nieznany w doświadczeniach estetycznych ludzkości dosyć najpotrzebniejszą sztukę plastyczną dostarcza czasem aż w nadmiarze

przez film, fotomontaż czy artystyczne plakaty może jednak w pewnym stopniu wpływać na potrzebę szukania czegoś innego. Czy więc „kryzys treści” w zachodnim malarstwie wynikał tylko z „pustki ideologicznej” schyłkowego okresu kapitalizmu?

W innym zresztą problemie upatrują podstawy kryzysu malarstwa stalugowego. Ten produkt artystyczny nie odpowiada współczesnym możliwościom społeczno-gospodarczym odbiorców. O ile socjalizm stwarza nieograniczone możliwości dla takich dziedzin plastyki jak architektura, rzeźba, mozaika, malarstwo ścienne i monumentalne — o tyle obraz w moim przekonaniu zaczęła jeszcze dłuższy czas na okres swego renesansu. Obraz potrzebuje wnętrza i jakiegoś intymnego stosunku między nim a widzem. Gdy każdy obywatel będzie miał własne ładne mieszkanie i tyle pieniędzy by móc kupić to co mu się podoba u dobrego artysty, wtedy nastąpi wielki okres malarstwa stalugowego.

Gdy odbiorcą jest czynnik społeczny, w państwie socjalistycznym zupełnie zrozumiałe są zalecenia realistyczne. Wejście sztuki w służbę społecznej prawdy czasu odbyć się może tylko na drodze szczerego przeżycia przez poszczególnych artystów, wartości niesionych przez rewolucję. Tylko szczerze przeżycie i pełna, szczerza wypowiedź artystyczna, wyzwala tajemnicze zaklęcie artysty bez którego obraz nie jest dziełem sztuki, a mniej lub bardziej udaną ilustracją, o której można zresztą pisać całe tomy fachowych rozpraw.

Jerzy Wolf pisał, że artysta przypomina inżyniera, bo tak jak inżynier operuje elektrycznością choć nie wie czym ona jest, tak on operuje pięknem. Piękne to powiedzenie i duża w nim marza tajemniczości. Marksiści nie lubią tajemnicy i mówią, że traktują sztukę naukowo. Niestety, ja sądzę „po obskurancu”, że w sztuce jest coś z majaka. Jakże trudno użyć do jakichkolwiek celów zjawisko, które znalazło się między ludźmi po to by budzić zaciekawienie, by wzruszać i cieszyć — a rozłożone na elementy i potraktowane naukowo gdzieś znika.

Mieszkaniec Afryki Południowej przejdzie przed dziełem Leonarda i nie zauważy zawartego w nim ładunku piękna. Jak szukać śladu piękna? Kiedy zwiedzamy muzea, eksponaty interesują nas początkowo jako dokumenty stylów różnych epok, lecz gdy już style znamy, zauważamy ze zdziwieniem, że rzecz przestaje nas ciekawić. Dlaczego? — Bo pomiędzy zbiorami czcigodnymi i cennymi tylko z rzadka, czasami błysnie blask piękna. 99 proc. wszystkich tzw. dzieł sztuki każdej epoki nie ma w sobie śladu piękna, jest dokumentem stylu — niczym więcej. Dlatego w muzeach, które dobrze znamy, mijamy szybko wielkie płótna w złożonych ramach, lśniąca postacie z marmuru — by stanąć z uśmiechem wzruszenia i wdzięczności przed jakimś małym

pejzazem czy nawet nadbitą wazą.

TRUDNOŚCI WARSZAWSKIE

Tak wystawa, jak przede wszystkim dyskusja warszawska okazała się pełna na jakie trudności natrafia w Polsce postulat realizmu socjalistycznego. Malarze polscy, w odróżnieniu od swych kolegów radzieckich, nie mają w naszej sztuce narodowej poprzedników, do których można by, bez sprzeciwu nawiązywać. Nie ma u nas odpowiednika „Pierwiozników”. Gierymski nie może wystarczyć, a próby uczynienia np. z Matejki wzoru godnego do naśladowania, nie mogłyby przynajmniej w moim przekonaniu, być płodne.

Do braku wielkiej tradycji realistycznych, dochodzą trudności wynikające z osobistej przeszłości artystycznej współczesnych malarzy. Przedwojenne malarstwo polskie kształtowało zasadnicze trzy nurty. Wywodzący się z tradycji monarchijskiej t. zw. „Zachęciarze”, których zaplecem społecznym i odbiorcą było bogate mieszczaństwo; szli oni po łatwej linii artystycznej schlebiana gustom dysponującego pieniędzmi klienta. Malowali krajobraz „po



Aleksander Kobrej — Ceglarki

skim nurt trzeci, awangardowy. Wchodzący weń różne grupy, które łączyły pewne zasadnicze cechy, jak nie oglądanie się na pomoc i zdanie mieszczaństwa, wysokie pojęcie o obowiązku uczciwości artystycznej malarza i wreszcie pozostawanie pod wpływem formalnym współczesnych kierunków sztuki zachodniej. Zaplecem społecznym tego nurtu była b. często lewica.

Trudność dzisiejsza polega na tym, że ostatni, awangardowy nurt, wychował artystów, którym najtrudniej nagiąć się do twardych postulatów chwili bieżącej. Ciekawy

lenty wyłonić wyszło z wojny zdisiatkowane — zginęli najzdolniejsi i najdynamiczniejsi, ci co walczyli. Długo jeszcze będziemy odczuwać brak tych roczników.

Innego typu trudnością jest trudność ideologiczna. Dlatego element ten nazywam trudnością, że sposób postawienia zagadnień ideologicznych przez organizatorów wystawy utrudnia zrozumienie postawionej problematyki i odstrasza nieraz od niej nie-marksiści. Prezes Związku Polskich Artystów Plastyków Juliusz Krajewski i naczelny redaktor Przeglądu Artystycznego Halina Krajewska — podkreślali w swoich wystąpieniach konieczność naukowej metody malarzkiej precyzując, że jedynie naukowa postawa to postawa marksistowska. Nie wyjaśnili jednak jasno, co w ogóle oznacza naukowość w malarstwie.

Każdy myślący człowiek przyzna, że przeprowadzenie nowej konwencji jest sprawą trudną, wymagającą taktu i rozsądku. Niestety nie wszyscy jej głosiciele tymi zaletami się odznaczają. Na dyskusji jeden z malarzy skrytykował ostro malarstwo Cezanne'a. Słuszne zarzuty można stawiać każdemu, a więc i Cezanne'owi, lecz, jak trafnie za uważył jeden z moich sąsiadów, ta krytyka Cezanne'a, w ustach malarza, którego dzieła — na jego nie-szczęście — oglądać można w sali obok przypomina krytykę Napoleona przeprowadzaną „na poważnie” przez podoficerów w koszarach zambrowskich. Co gorzej, ma ona także same znaczenie.

Nie wspominałbym o takich śmiesznościach, gdyby nie rzutowały one na sam ważny problem realizmu socjalistycznego. Dlatego trudno nie odnieść się krytycznie do nieprzemysłanej publicystyki Szulagą i takichże poczynań Ignacego Witza, jak również, niestety, do pewnych wystąpień Haliny Krajewskiej. Jej artykuł o zmiennych kryteriach piękna może być rozłożony przez każdego kto zna trochę historię sztuki i wie, że habent sua fata imagines.

W gwałtownym przemówieniu podczas dyskusji warszawskiej p. Krajewska również popelniała szereg uproszczeń. Między innymi odrzucając pogląd jakoby artysta tworzył dla przyszłości p. Krajewska woła: „nie, artyście zawsze obowiązują kryteria współczesności”. Otóż i tak i nie. Żdanow i Gorkij, choć żądają malarstwa służącego współczesności, żądają również, aby to malarstwo było dla przyszłości. A znane nam dzieje wielu mistrzów pouczają nas, że równie wielu z nich tworzyło w zgodzie ze współczesnością, jak i w konflikcie. Rozmyśl-



Eugeniusz Eibisch — Warszawa

polsku”, sceny rodzajowe, portrety właścicieli banków i majątków. Drugim nurtem było „Bractwo św. Łukasza” grupujące artystów, którzy chcieli jakoś włączyć swą sztukę w aktualne potrzeby polskie. W praktyce stali się oni podopiecznymi ówczesnego rządu upatrującego w nich tych artystów, którzy najlepiej potrafią uwiecznić w sztuce chwałę państwa. Jednak, mimo iż „Łukaszczyki” otrzymywali subsydia i stypendia zagraniczne udzielili im się widocznie zły gust mecenasów, co dało w rezultacie malarstwo coraz bardziej monumentalne, coraz bardziej pompierskie, mało ze sztuką mające wspólnego.

Był wreszcie w malarstwie pol-

ten objaw znalazł swoje odbicie w przyznanych nagrodach.

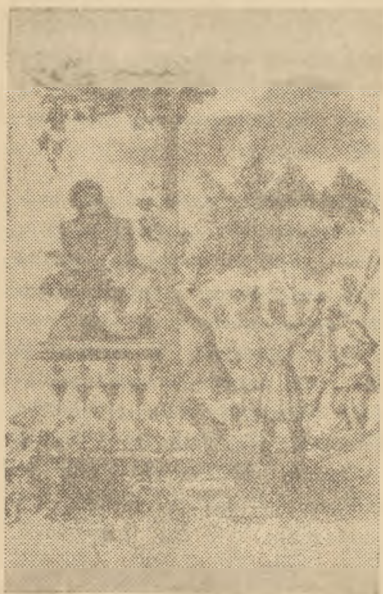
Mówiąc o tych trudnościach personalnych, które mają ogromne znaczenie, bo sztukę tworzy i kształtuje konkretny człowiek, ze smutkiem trzeba zauważyć, jak mało ukazało się po wojnie nowych talentów. Najmłodsze nazwiska, które wysunęła wystawa, jak Kobzej, Michałowski, czy Cygańska-Walicka — to artyści po trzydziestce. A nie budząca wątpliwości realizacja nowych potrzeb wymaga jednak wielkich talentów, takich, które potrafiłyby narzucić nową konwencję. Trzeba chyba przyznać, że młode pokolenie twórców, które mogłoby takie właśnie ta-

nie przytaczam tak drobne nieporozumienia, by podkreślić moje przekonanie, że ci, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za wprowadzenie sztuki polskiej na nowe tory: muszą być szczególnie w stosunku do tego co robią i mówią wymagający, najdrobniejsze bowiem ich błędy odbijają się na przebiegu trudnego procesu.

I jeszcze jedna trudność. Tą trudnością jest brak praktycznych kryteriów w odróżnianiu naturalizmu od realizmu. Mówię praktycznych, ponieważ, jak wiadomo, teoretyczne kryteria istnieją.

Dwoma przykładami zilustruję tą tezę. Dwie drugie nagrody — jedną w dziale rzeźby, drugą w malarstwie — otrzymały Stachurska i Wereszczyńska. Według przekonania wielu krytyków, przekonanie to jest i moim, oba te dzieła reprezentują klasyczny naturalizm. Rzeźba Stachurskiej przedstawia dziewczynkę o dość smutnej buzi ubraną w kózuszek, z książką pod pachą. Pod rzeźbą b. literacki napis „Do szkoły po wiedzę“. Według mnie również trafnie oddawałby treść rzeźby podpis: Joasia, Marysia czy Hania (zresztą bardzo mieszczańskie dziecko). W dyskusji padł zarzut, że różne szczegóły i akcesoria, jak np. włosy kózuska są zbyt naturalistycznie odrobione. Odpowiadając, prof. Starzyński wyjaśnił, że dokładne odrobienie tych akcesoriów nie jest żadnym naturalizmem, ale dowodem rzetelnego stosunku rzeźbiarki do współczesnej rzeczywistości polskiej. Przed tym młody malarz, marksista, Fangor, określił każdego kto nie dostrzega różnicy między naturalizmem a realizmem, jako metafizyka. Czy wbrew sugestiom Fangora właśnie prof. Starzyński nie wypadł metafizycznie.

Obraz Wereszczyńskiej przedstawia jakąś bardzo podupadłą polską wieś. Broniąc autorki przed zarzutem naturalizmu malarz Zakrzewski również podkreślił rzetelny stosunek malarki do rzeczywistości, a przede wszystkim jej głęboki patriotyzm, malowanie prawdziwie polskiego krajobrazu. Jako argument przytoczył Zakrzewski słowa gościa, prof. berlińskiej Akademii, który spojrzawszy na obraz zawołał: das ist Polen! — Hm, źle, że obcokrajowcy jeszcze tak samo wyobrażają sobie dzisiejszą wieś polską, jak temu lat dwadzieścia. Pełna „łęskniczy“ wieś z pejzaży Rapackiego i monachijczyków (o których malarstwie pisali zresztą Niemcy złośliwe wierszyki), wieś rozjeżdżonych dróg, walących się chat, bezkresnych pól nieużytków. „Das ist Polen!“ — ale właśnie „w oczach zachodu“. Kraj, którym trzeba się zająć, prosto teren kolonizacyjny. Oby jak najprędzej takiej wsi już w Polsce nie było!



Wacław Waszkowski — ilustracja do „Dubrowskiego“

Na marginesie tych spostrzeżeń pewna uwaga. Walcząc z kosmopolityzmem i nacjonalizmem, podkreślając wielkie wartości patriotyzmu i sztuki narodowej, trzeba pilnie baczyć, by przez taki czy inny zbieg okoliczności nie wysuwać dzieł tracących parafianiszczyną.

SPACER PO WYSTAWIE

Pierwsza wystawa oparta o założenia realizmu socjalistycznego była czymś w rodzaju mobilizacji artystów polskich, którzy wystawili rekordową ilość 628 dzieł, z tym, że prac nadesłanych było jeszcze więcej, lecz szereg z nich odrzuconych zostało przez jury, jako nieodpowiadające założeniom wystawy.

Jako całość najpoprawniej przedstawia się dział grafiki ze znakomitymi ilustracjami Wacława Waśkowskiego na czele. Szkoda, że nie pokazano nam plakatu. Grafika, w której od wielu już lat polscy artyści wykazują ogromne postępy jest tą dziedziną plastyki w której możemy odegrać rolę nawet światową. A w ustroju socjalistycznym, tak plakat jak i ilustracja mają ogromne pole do popisu.

Takie same możliwości stoją zresztą również przed rzeźbą, szczególnie monumentalną. W tym dziale jednak wystawa nie dała jakichś specjalnych rewelacji. Z radością powitać trzeba pojawienie się nowego talentu w osobie Alfreda Wiśniewskiego. Praca tego młodego artysty „Granica pokoju“, bardzo współczesna w wyrazie artystycznym, sugestywna i ściśle wypowiedziana to, co artysta chciał powiedzieć, w pełni zasłużyła na pierwszą nagrodę. Ogromny rozmach twórczy, jak zwykle, pokazał Bandura, szkoda jednak, że jego „Miotacz“ jest mocno brutalny i właściwie anty-estetyczny. Wymienić też trzeba kulturalną kompozycję Wnuka, poprawne, mocne głowy Karnego i akademicką głowę Rzeckiego.

Przy malarstwie sprawy się wyraźnie komplikują. Przede wszystkim nieprzyjemnie uderza fakt, zbyt dużej ilości prac o niskim poziomie artystycznym. Winą za obecność tych prac na wystawie obciążać trzeba, nie złych malarzy, których zawsze będzie podostatkiem, ale zbyt liberalistyczne-stanowisko jury. Stąd znalazły się na wystawie takie kicz jak np. „Jesienny siew“ Jedrkiewicza, czy też opatrzone różnymi szumnymi tytułami prace takich malarzy jak Zalewski, Apelbaum, Modzelewski, Michniewski, Bartoszewicz, Seredyński, Wętorski, Kiełbiński, Kotowski, Maliszewska-Zakrzewska, Breitenwald i niestety wielu innych. Pokazanie tych prac, choć pełnych dobrej woli w sensie podjęcia tematu, jest błędem organizatorów wystawy, ponieważ ułatwia atakowanie samej koncepcji wystawy.

Drugą nieprzyjemną cechą dzieła malarskiego jest widoczna pewna mechaniczność przyjmowania przez wielu artystów postulatów realizmu socjalistycznego. Po prostu nie poprzedzona żadnym szczerem i głębszym przeżyciem. Postawa taka w najlepszym razie daje obrazy złe, jak to widzimy u Kuryaty, daje też jednak rezultaty smutne i niebezpieczne, jak w wypadku Oziminów, czy też wręcz operetkowe, jak wyczyn Lasockiego, który, jak zwykle w sposób rzemieślniczy maluje dwa byki i kładzie tytuł alegoryczny: „Walka czerwonego z czarnym!“. Ten rodzaj artystów nadał niepotrzebne akcesorium wystawie, o którym powiedział ktoś dowcipny: „oto jak sobie drobniomieszczanin wyobraża rewolucję“.

Ale na szczęście są też obrazy dobre. Prawdziwi i twórcy artyści

dwojakich — jak to słusznie zauważył krytyk Bogucki — drogą szukają do realizmu socjalistycznego. Pierwsi starają się go wyrazić używając właściwych sobie środków artystycznych, drudzy nawiązują wprost do okresu sprzed pięćdziesięciu lat. Sądzę zresztą, że do realizmu socjalistycznego wiodą nie dwie, ale szereg dróg i że nie wolno uznać jego kanonów formalnych za już gotowe. Nikt nie może przejść przez wystawę nie zatrzymawszy się dłużej przed wielkim osiągnięciem malarskim, jakim są płótna Eibischa. Eibisch w sposób przekonywujący, w oparciu o swój wysoki kunszt artystyczny i talent szuka dróg do wyrażenia treści tematycznych.

Również przekonywująco pokazują, jak kultura malarska i poczucie koloru przydatne jest do każdej koncepcji plastycznej tak dobrzy malarze, jak Fedkowicz, Studnicki, Krystyna Łada, Tomorowicz, Rafałowski i paru innych. Helena Cygańska-Walicka nie traci zainteresowania kolorem lecz równocześnie ukonkretnia formę i temat dając bardzo dobry obraz „W szkole“. Jeszcze bardziej, ale w sposób bardzo malarski podporządkowują kolory tematowi Michałowski, Kobzdej i Marek Włodarski. Wszystkie te wymienione nazwiska to bardzo cenne pozycje na wystawie. Oczywiście, w tym krótkim przeglądzie szereg osób i dzieł trzeba pominąć. Wspomnę jeszcze o zawierającym ogromny ładunek humoru i świetnie oddającym nastrój pierwszego powojennego okresu Warszawy obrazku Płużańskiego p. t. Budowa.

Dla mnie rewelacją wystawy są znakomite mozaiki, tak Żuławskich, jak i jeszcze bardziej Komedia del Arte Stanisława Teisseyre.

WNIOSKI

Jak należy ocenić wkroczenie realizmu socjalistycznego w plastykę polską? Sądzę, że na tym etapie historii jest to zjawisko zrozumiałe. Zawraca ono, może dość gwałtownie, artystów z drogi wiodącej do nikąd. Już Pankiewicz, który przecież należy do dawnej epoki i który był reprezentantem kierunku zachodniego w Polsce, stwierdzał przy końcu życia, że trzeba zawracać z drogi czystego koloru, czystej formy i abstrakcji. Już dawno bardziej myślący artyści rozumieli, że trzeba wrócić do konkretnej rzeczywistości, do kontaktu z życiem i potrzebami człowieka. To, jeśli idzie o stronę formalną. Ale jest i zagadnienie głębsze, ideologiczne.

Prawdą jest, że wspomniany już w tym artykule Cezanne był wielkim malarzem, ale prawdą jest również, że w sensie postawy społeczno-filozoficznej twórcy był on tym, który zwekslował sztukę europejską na tory degeneracji. To Cezanne zapytany co robił w 1870 r., roku największej klęski Francji odpowiedział spokojnie: „malowałem wtedy moje najlepsze pejzaże z Estempes“. Ta głęboko niemoralna postawa Cezanne'a była wzorem dla późniejszych artystów, autonomizujących coraz bardziej sferę sztuki, nie odzyskujących żadnej więzi z losem swego społeczeństwa ani żadnego poczucia obowiązku. Ponieważ jednak życie ludzkie jest całością i sztuczne wyłączenie jakiegokolwiek własnej aktywności z obrębu moralności powieść się nie może, ponieważ życie ludzkie odbywa się między ludźmi i fikcją jest każda próba odseparowania własnego losu od losu zbiorowiska — ta niemoralna i nierealna postawa artystów doprowadzić musiała do faktycznego odizolowania sztuki od wielkich,

ludzkich spraw. Istotnie malarze nie mówili już o niczym więcej poza kolorem, linią czy bryłą — istotnie była to ich wielka kapitulacja.

Gdy proponowałem jednemu z członków dyskusji warszawskiej, by podyskutował ideologicznie z tezami marksistowskimi, odpowiedział zgnębiony: „nas tu jest coś 300, w tym może jest trochę marksistów i ze dwóch katolików — ideologia nas nie interesuje“. Tacy, wychowani przez ustrój dekadencji, oderwani od najistotniejszych spraw życia artysty trafili w okres wielkich napięć ideologicznych. Chwilowo czują się bardzo zagubieni.

Marksistom nie można się dziwić. Dla wielkiej przebudowy społecznej potrzebują oni sztuki, która wciągnie masy w proces kulturo-twórczy, nie potrzebują smakoszostwa. Adolf Rudnicki pisze: „Żyjemy w czasach wielkich zrębów, nie mikroskopu, nie zabawnych czy tragicznych szczegółów. Tylko książki-czyny mają rację bytu. Tylko książki czyny wesprze epoka. Inne urodzą się martwe. Nasze czasy nie dadzą książek, które będą tylko książkami“. Malarze powinni sobie zastąpić słowo książki, słowem obraz.

Oczywiście, nie ma okresu, chyba, że okres to bardzo ubogi, w którym nie byłoby kilku nurtów w sztuce. Dominuje zawsze jakiś jeden nurt, obok którego są inne, podskórne nurty, tworzone przez tych, którzy albo nie mogą dostosować się do wymagań stawianych głównemu nurtowi, albo też inaczej rozumieją epokę. Nurty te zawsze jakoś się nawzajem uzupełniają i wzbogacają. Czym ich więcej, tym lepiej. Dominującym nurtem naszych czasów musi być i będzie sztuka zgodna z aktualnymi potrzebami mas.

Największym niebezpieczeństwem socjalistycznego realizmu w plastyce polskiej jest małe wyrobienie plastyczne naszego odbiorcy, nawyki złego smaku. A rozpoznawania piękna, znajdowania radości w pięknie trzeba się uczyć, uczyć wytrwale i pod dobrym kierownictwem. Duża odpowiedzialność spada na tych,

którzy za sprawę kultury plastycznej naszego społeczeństwa będą odpowiedzialni.

**

Pisałem w tych rozważaniach o trudnościach na jakie napotyka i o oporach jakie budzi realizm socjalistyczny w plastyce. Jeśli jakaś koncepcja ma zbyt łatwą drogą, to źle to zwykle świadczy o jej przyszłości. Napewno epoka budowania socjalizmu będzie miała inną sztukę od epoki schyłkowego kapitalizmu. A każdy kto wierzy w to, że socjalizm jest jutrem społecznym światem, wierzy również, że będzie miał swą wielką sztukę. Różni artyści różnymi drogami będą szli ku sztuce przyszłości. Ważne jest, aby tworząc nowe wartości, nie zapomnieli o wszystkich zdobyciach i doświadczeniach sztuki światowej, które na każdym etapie w inny sposób będą mogły być wykorzystywane twórczo. Ważne jest, aby malarze zrozumieli nową pozycję i awans społeczny artysty, aby zrozumieli również, że sztuce przywracana zostaje jej służebna rola, od której uchylili się przed niespełną stulecia.

Dominik Horodyński

Sp. wyd. „Pax“, Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATANA

cena 950 zł

B. MARSHALL
CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTOW
„OJCZE NASZ“
K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
I-8515
SP. WYD. „PAX“ INST. WYD.

TERESA była dobrą malarką.

Kilka wystaw krajowych i zagranicznych, tyleż długich artykułów poświęconych jej twórczości i wiele wzmianek prasowych, mówiło o dorobku artystki. Ponadto bujne dwa-dzieścia lat życia u boku dwóch mężów, biała willa na przedmieściu dużego miasta i początkujący ale już dosyć zaawansowany proces starzenia się, uzupełniały wiano, które wnosiła obecnie do trzeciego małżeństwa, z młodym, o wiele od siebie młodszym pianistą. Porzuciła ostatnio pracę pedagogiczną i kręciła się niespokojnie śladami wyjazdów swojego najdroższego. Muzyk jeździł często na występy lub posiedzenia, więc Teresa całe swoje dochody zużywała na podróże, popędzana zazdrością a może i prawdziwym przywiązaniem do wybranego, który — wierzyła — będzie ostatni najważniejszy. W drodze snuła plany na przyszłość. Obmyślała całe cykle prac, które wykona. Miała w projekcie polichromię nowego kościoła niedaleko swojego domu. Wydawało się, że chce w ten sposób wyrobić sobie protekcję na tamtym świecie, po niebardzo pokutnym życiu. Ponadto chciała powrócić do przerwanej serii portretów wielkich



ludzi sztuki, która niespodzianie utknęła na Bachu. Wyobrażała sobie teraz, że obraz ten namaluje najlepiej w pierwszym miódowym okresie z młodym muzykiem, codziennie słuchając starych, klasycznych i barokowych utworów. Gdy wyczerpała myśli o sztuce, wrastał podświadomy niepokój, zwłaszcza gdy podróż odbywała samotnie, na własną rękę, bez porozumienia z narzeczoną.

Pod koniec maja Staszek pojechał do Klonowa, gdzie w dużym domu wypoczynkowym, trwały przygotowywane prace do festiwalu chopinowskiego. Malarka czuła się w tym okresie pełna sił i pomysłów, więc zaraz następnego dnia dopakowała do stałe przygotowanej walizeczki, gazetę z farbami i wyjechała z miasta.

Zdrowa, jasna pogoda ogarnęła od rana całe niebo. Zielone żyta stały puszysto, a nad łąkami porośniętymi kolorowym zielskiem migąły siatki motyli i ważek. Wygodny autobus pędził asfaltową wstęgą na zachód w kierunku wzgórz, wyglądających jak granatowe czapy i szczytki. Z małych moczarów przy szosie, zrywały się czerwonoogie bociany i leciały na dachy niedalekich stodoł.

Wewnątrz wozu było ciepło i duszno, więc konduktor pootwierał okna i odsunął brezent z dachu. Świeży wiatr chlusnął pomiędzy jadących. Trzymali rękami nakrycia głowy, albo zdejmowali je, dając ulatwiać włosom.

Malarka także zdjęła kapelusz. W chromowanej popielnicze widziała swoje odbicie i od paru chwil stwierdzała z zadowoleniem, że wygląda jeszcze młodo, z rozpuszczonymi lokami i opaloną twarzą, którą muskają refleksy czerwonego obicia siedzeń.

Szofer prowadził maszynę dobrze. Jechał szybko ale bardzo pewnie,

Andrzej Łepkowski

KARTKI ZE SZKICOWNIKA

panując nad każdym centymetrem szosy. Napotkane pojazdy wymijał zręcznie, miękko. Pasażerowie falowali wtedy łagodnie, trzymając się metalowych poręczy foteli. Po dwóch godzinach jazdy, przerywanej krótkimi przystankami, ukazał się Klonów, jak garść klocków zapomnianych przez dziecko w ogródku. Labiryntem serpentyn zjeżdżali na dół.

Bregami szosy szli „tubyłcy“ w lekkich, jasnych ubraniach z aparatami fotograficznymi przez ramię. Za każdym zakrętem wyzierała coraz to inna część ogromnego jeziora, po którym pływały jolki i łodzie. Kiedy autobus stanął wreszcie na kwadratowym ryneczku, czekał już tłum witających.

Teresa żałowała, że nie zatelegrafowała do Staszka. Nikt nie wziął od niej walizki, sama przeciskała się pomiędzy ludźmi. Kiedy wydołała się wreszcie na chodnik, na wieży kościelnej dzwoniła jedenaśta. Poprawiła kostium i przejrzała się w szybie wystawowej. Pomiedzy taną konfekcją damską odnalazła swoje odbicie i stwierdziła, że głowę ma jak japońska chryzantema. Rozczesywanie włosów niewiele pomogło a jeszcze mniej długie manipulowanie lusterkiem z torebki. Poszła wąską uliczką po kociach łbach, przyglądając się ładnym barokowym domkom. W oknach stały zielone skrzynki z grzywkami młodych roślin ozdobnych. Z otwartych bram wiały miłe, chłodne przeciągi.

Po kilku minutach krążenia po miasteczku, doszła z powrotem do rynku. Stała pod domem, nad którego bramą, kołysało się duże mosiężne słońce. Jaskrawy szyld informował: „Gabinet piękności, Jana Głowacza“. Skrzyżowane rurki do włosów i grzebień, namalowane ceglasto, usuwały wątpliwości; w domu był zakład fryzjerski.

Na oknie stała klatka z papuzkami z gatunku „nierozłącznych“. Ptaszki skrzęcały głośno, zalotnie muskając się dziobkami. Drzwi do ganku otworzył właśnie jakiś klient. Przeciąg wydał lekką, kremową firankę tak, że opadła na klatkę, osłaniając na chwilę czułych małżonków przed oczami przechodniów.

Teresa jeszcze raz przeczytała napiszony napis. Zauważyła, że „e“ brakowało ogonka, co dodawało niechęć słowu „piękność“, gwarowego, swojskiego charakteru. Z okna zapachniało smakowicie obiadem. Po tem zapiakało dziecko i papużki umilkły.

Teresa weszła na schodki — pchnęła drzwi. Tu dla odmiany wisiała steżona woń brylantyny i wody kolońskiej. Aparat do trwałej ondulacji błyskał z kąta podobny do fantastycznej zbroi. Na krzesłach siedzieli dwaj mężczyźni w serwetkach — jak w komeżkach. Patrzyli w lustro i robili dziwaczne miny, wyglądając palcami świeżo ogolone policzki. Nad poplamioną, zieloną kotarą, zasłaniającą trzecie i prawdopodobnie ostatnie miejsce w gabinecie piękności, migąły na przemian: rękaw białego kitla i łysina, wypolerowana jak kula bilardowa. Na odgłos potrąconego drzwiami dzwoneczka, fryzjer stanął na palcach, wychylając głowę aż po czubek nosa i uśmiechnął się uprzejmie.

— Już kończę panią naczelnikową — zaraz służę...

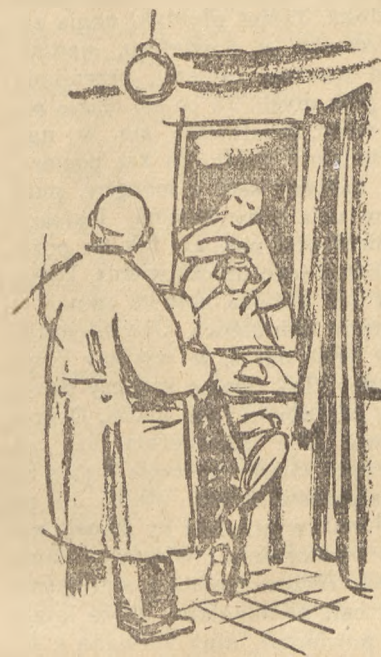
Ukrył się, i z poza fałdów zasłony zaszumiła maszynka do suszenia włosów.

— Panie Jasiu — zapaleczki...! — Mruknął jeden z klientów, wyciągając z kieszeni papierosnicę.

Z damskiego przedziału wyleciało czerwone pudełko i stuknęło w dno umywalni.

Teresa usiadła pod wieszakiem i zaczęła przeglądać podarte tygodniki. Płacz dziecka nie ucichł jeszcze za drzwiami. Papużki przekomarzały się, milknąc gdy tylko aparat do włosów zachłysnął się trochę głośnieję.

Nagle wszystkie szyby na ganeczku zabrzęczały, zakotłowało się i do zakładu wpadło kilku chłopców. Przebiegli cały lokal, potrącając siedzących. Gdy zniknęli w korytarzu wiodącym do oficyn, klienci przed



lustrami spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Lewy nachylił się ku sąsiadowi.

— „Piętnaste w drodze“ — doleciało Teresę. Tamten zapalił się do tej wiadomości. Zaczęli plotkować. Poruszone przez chłopców drzwi wahały się coraz słabiej. Motorek do suszenia włosów zamilkł a po chwili zza kotary wyszła tęga dama. „Pan Jas“ ucałował jej rękę, podobną do poduszki na igły, którą godnie podsuwała mu pod nos. Na odchodnym szepnęła nisko: „Zobaczmy się dzisiaj na sali, przyprowadź Magdzię i twoich najstarszych“. Przypatrując się wszystkim uważnie, odpływała balansując tłustym tułowiem.

Ukazywanie się nowych ludzi zajmowało Teresę wtedy, o ile mogła ich wykorzystać w obrazie. Tym razem, w ciemnym lokalu fryzjera, poczuła się obco i zauważyła, że bardzo daleka jest od spraw mieszkańców małego miasteczka. Znacznie więcej interesowały ją domy rozpalone południem, przeświecające przez podwójną warstwę szyb. Domy te, prawdopodobnie zakrywały zamek, w którym mieszkali członkowie zjazdu, a to łączyło się z osobą Staszka. „Żeby tylko ten miejscowy mistrz uczesał mię do rzeczy“ — pomyślała.

— Proszę szanowną panią! — skinął właśnie fryzjer.

Podeszła, przyciskając do kolan gazetę.

W separacie było czystiej niż w pozostałej części lokalu. Ściana wyłożona kafelkami lśniła przyjemnie. Na półkach leżały błyszczące instrumenty.

Tymczasem pan Jan rozwiązywał siatki klientom i gładził ich włosy drgającym ruchem dłoni. Poskładał serwetki, odebrał należność, poczem wrócił do Teresy.

— Proszę mycie głowy i wola... — powiedziała. — Zaraz po-

każę panu jak — dodała, rysując znaki nad czołem i szyją.

Fryzjer uważnie obserwował jej ruchy, potem wyjął z komódki czyste płótno i rozpostarł silnym strzepnięciem.

— Pani na wczasach? — zaczął rozmowę.

Teresa przyjrzała mu się w lustrze. Miał czerstwą, tęgą twarz i przymrużone oczy.

— Dzisiaj przyjechałam. Autobus był otwarty i wiatr mi włosy rozburzył.

— Napewno zamieszka pani w zamku — u muzyków...

— Nie wiem, może w pensjonacie albo w zamku...

Rozmowa nie bardzo kleiła się. Pan Jan nalewał do miednicy wody z gazowego kociołka.

— Wieczorem będzie koncert. Co czwartek mamy koncerty odkad przyjechała orkiestra z miasta.

— Czy wie pan, kto dzisiaj występuje? zacięła się malarka.

— Było na afiszach; jakiś na fortepianie.

Teresa pomyślała o Staszku.

— Kto tu chodzi na koncerty?

— Wczasowicie i my — miasteczkowi. Widzi pani, u nas mało rozrywek. Czasem cyrk przyjedzie, postoi dwa dni albo kino objazdowe pokaże, więc każdy chętnie idzie jak jest co do zobaczenia.

Przechylił delikatnie głowę Teresy i zamoczył w miednicy.

Zobaczyła nad sobą matową, kulistą lampę. Po szkle przechadzały się dwie muchy, jak mieszkańcy małego globu. Trącały się leniwie lub nagle podniecone czemś odpryskiwały na chwilę, ażeby okrążyć kilkakrotnie kulę.

— Moja pierwsza żona była muzykalna, uczyła się śpiewu — zaczął znowu fryzjer... Magdzia przynies-no gruby ręcznik, bo mi zabrakło — wtrącił, stukając pięścią w drzwi. Teresa kątem oka zauważyła młodą kobietę, jak zjawiała się na chwilę w progu i podawała panu Janowi ręcznik.

— Córka...? — zapytała zamykając oczy przed mydlinami.

— Nie; żona — odpowiedział fryzjer — druga żona — poprawił się zaraz.



— Młodą pan ma żonę — powiedziała Teresa nie otwierając oczu. Wyobraziła sobie starego fryzjera, prowadzącego do ołtarza podłotka w białym welonie. — Świętny temat do obrazu — jak u Rousseau. Małomiasteczkowa atrakcja. — Trzeba namalować naiwnie... Idą pomiędzy gawiedzią, ustawiającą się w szpa-

ler. Każdy z gapiów ma głupio uśmiechnięte usta.

Pomyślała nagle o młodszym od siebie Staszku. Sprzyło ją to.

— Jaka różnica wieku jest między wami — upewniła się.

Dwadzieścia pięć lat, proszę pani...

— Macie dzieci?

— Dwoje mamy. Jedno jest malutkie a jeszcze jedno będzie — uśmiechnął się filuternie i wycierał włochatym ręcznikiem głowę Teresy.

— Z pierwszą żoną miałem dwa-naścioro. Magdzia wychowała najmłodsze po nieboszce. Panną jeszcze była a już pieluszki prała

Muchy zderzyły się na lampie i uciekły. Później z brzękiem latały pod sufitem.

— Dawniej miałem skrzypce, grywałem trochę, tak z amatorstwa — podtrzymywał rozmowę o muzyce fryzjer. — Czasem do tańca się grało, czasem do słuchu.

Przyniósł żelazka i zabrał się do robienia fryzury.

— Teraz już nie gram. Odkąd mój najstarszy syn zepsuł skrzypce, przestałem. Grał bestia i zepsuł... W tenisa nimi grał.

Teresa parsknęła głośno...

— W tym roku zdobył drugie miejsce w zawodach. Byłem na rozgrywkach. Gdybym to przewidział przed dziesięć laty, możeby wtedy lania nie dostał.

Biały kitel pana Jana obramował głowę Teresy. Zauważyła, że tworzą w lustrze ciekawą grupę. Po tem przeniosła uwagę na swoje włosy, z kobiecą pedanterią śledząc ruchy fryzjera, przy zakręcaniu papilotów.

Podczas przerwy w rozmowie ustawił skomplikowany aparat do suszenia włosów. Malarka przetrzała tygodniki leżące na kolanach. Znalazła między nimi czasopismo muzyczne. Wstępny artykuł był o Bachu. Przyszła jej na myśl rozpoczęty portret, którego nie mogła kontynuować z braku modelu i nastroju. Kilka razy rozmawiała ze Stachem o niedokończonym obrazie. Doszli do przekonania, po długich wywodach filozoficznych młodego pianisty, że malowidło ma wszelkie zadatki na knota i trzeba zacząć od nowa.

— Pana ma na imię Jan — spytała zniemacka.

— Jan, proszę pani, a na drugie Sebastian, ale to tylko dlatego, że urodziłem się w „Sebastianie“. Matka chciała żeby mi było Kajetan. — Dlaczego pani pyta — zdziwił się.

— Teresa nie odpowiedziała, tylko uważnie obserwowała w lustrze ruchy lysej głowy fryzjera.

— Czy nie nazywa się pan „Potok“, albo „Potoczek“, może wreszcie „Potocki“.

— Nie, moje nazwisko jest Głowacz. Ale naprawdę nie rozumiem, szanownej pani — przeląkł się.

— Szkoda, że wszystko nie może się zawsze zgadzać — mruknęła do siebie Teresa.

— Po prostu — dodała głośnieję — przypomina mi pan Bacha. Ma pan te same imiona, młodą żonę — Magdalene, dużo dzieci. No i Bach po niemiecku znaczy „Potok“, więc dlatego pytałam.

Uśmiechnęła się pod niklowym hełmem. Fryzjer odchrząknął i upozował się przed lustrem. Jego wiadomości o Bachu były bardzo skąpe ale wystarczyły, żeby przypuszczać (dokończenie na str. następnej)

LIST DWUDZIESTY PIĄTY

(Dokończenie ze str. 5-tej)

Ale dla nas dzień trwa często dłużej niż tysiąc lat!”

Zmierzch zapadł — rozpoczęło się święto. Całe miasto wyległo na ulice. Cisnąca się za dnia do cienia masa pielgrzymów, wylewała się teraz z domów i podsielni. Korowody z pochodniami podążyły ku świątyni. Zewsząd dolatywały krzyki, wszędzie wybuchały śmiechy, spiew bił w niebo jakby nawet mury śpiewały.

Zjedliśmy wieszczkę i znowu powróciliśmy do modlitw. To Ona nas wezwała. Żądała od nas więcej niż kiedykolwiek. Sen czepiał się powiek, lecz przemagaliliśmy go ze wszystkich sił. Chórem odmawialiśmy psalmy. Raz po raz powracaliśmy do modlitwy, której On sam nauczył. Powtarzaliśmy: „Przyjdź Królestwo Twoje...” To Królestwo, jak sądziliśmy, powinno być nadejść razem z Pocięszycielem. Noc przelatywała nad głową równie trudna jak tamta: noc Paschy. Znowu była to noc zmagania. Mocujemy się, myślałem, jak Jakub z Aniołem i jak On gdy samotny, w głębi ogrodu, mocował się ze Swym Ojcem. Tylko, że byliśmy jedynie ludźmi... Nawet Ona, Matka Boga, jest człowiekiem. Trwaliśmy sami... Czy jednak naprawdę bylimy sami? Było nas w izbie dwudziestu trzech ludzi modlących się w zapamiętaniu, lecz nasza nędzna, chwilami przechodząca w senne mrużenie modlitwa, zdawała się narastać tysiącem głosów. Nigdy jeszcze w ciągu tych dni nie mogliśmy się tak źle. Odmawialiśmy psalmy ostatkiem sił i uwagi. Co chwila któryś z nas poczynał drzemać. Chyba się, prawie padał. Kolana paliły. Każda kruszyzna pyłu wżerała się w nie na kształt ostrego szpikulca. Ta noc wydawała się nie mieć końca. Czyż do rana będziemy się tak mo-

dlili? Ogarniał mnie bunt, podnosiłem oczy na Nią. Ale Ona nie ustępliwie po jednym psalmie podsuwała drugi. Widząc nasze pobladłe z wysiłku twarze, zachęcała uśmiechem: „Jeszcze, dzieci, jeszcze trochę...” Powracaliśmy do naszego mamrotania, rzucaliśmy się w modlitwę niby w rzekę, której brzeg jest daleki. Po takim wysiłku nie pozostaje już nic w człowieku, jakby wydarł z siebie wszystko, wylał całą krew. Blask lamp zszarzał. Blask ich zniknął przyduszony gaśnikiem dnia. Czerń przestawała być czernią. Potem raptownie pierwszy promień słońca padł na mur. Był słaby, łagodny i różowy, ale z każdą chwilą potężniał, jak roślina, która uczerpiła się wilgotnego płata ziemi. Rósł w moc, w jasność, w złocistość. Modliliśmy się ciągle. Ściana przed nami zdawała się płonąć. Żarzyła się i biła nam w oczy falą blasku.

Byłem u krańca sił. Opuściłem rękę i wsparłem się o ziemię czubkami palców. Kolana wydawały mi się raną; jakby nogi były ucięte, a trzeba było stać na krwawych kikutach.

Nagle Maryja wyprostowała się, podniosła głowę, roztworzyła ramiona. Była w tej chwili jak arcykapłan, gdy ofiarowuje ofiarę i czeka na ogień, który spadnie z góry, by go pochłonąć. Coś mówiła cicho. Przerwaliśmy modlitwę. Jak urzeczeni patrzyliśmy na Nią. I wtedy...

Jak ci mam to opisać? Coś runęło między nas. Coś spadło niby niewidzialna masa żaru i mocy. Gdy nadchodził huragan, znasz niewątpliwie to uczucie, wydaje nam się, że ktoś, niby niewidzialny olbrzym wszedł między nas. Stoi początkowo niecierpliwie, a potem poczyna się szarpać, ude-

rzać na ślepo, kopać, bić. To nie jest dobra istota — to złoźnik, który nam daje odczuć swój gniew to szalenie gotów nas zdeptać dla zaspokojenia swej furii.

Lecz Olbrzym, którego poczuł się między sobą nie przyszedł z gniewem. Spadł na nas gorącym kłębem wiatru, powstrzymywał jednak Swą siłę, aby nas nie spalić. To był ktoś litościwy, pamiętający o naszej słabości. Wleciał do izby podobny wielkiemu ptakowi, którego skrzydła muskają twarze i wydają groźny szum, lecz którego lot jest spokojny i pewny. Zataczał nad nami niewidzialne kregi, coraz niżej, coraz niżej, aż wreszcie opadł na nasze głowy. Mógł nas zmiażdżyć — czuliśmy to dobrze — lecz nie zmiażdżył. Dotykał tylko lekko — dotknięciem miłości. Jakieś płomyki ognia zawirowały w powietrzu, siadały nad naszymi czołami, przenikały w głębi myśli. To co się działo poza nami, przelewało się w nas. Łykaliśmy wiatr, on zaś docierał do naszych serc i mózgow, palił nam usta niby kamień Izajasza. Unicestwiał nas, ale tak, że pozostawialiśmy go unicestwienia. Byliśmy jak kobieta gotowa zginąć w objęciu oblubieńca. Uświadomiliśmy sobie naraz, że wszyscy krzyczymy. Tak pewno krzyczy dziecko, gdy opuści łono matki. Dobroliwa Moc rozdierała nas na strzępy. Gdyby spoczęła dłużej na nas przestalibyśmy istnieć. Jej pocałunek wystarczył by zmusić nas do wyskoczenia z więzów własnej woli. Jeszcze chwila a stalibyśmy się cali płomieniami, które latały w powietrzu, niby zerwane z łądy kwiaty. Ale to straszliwe tchnienie już zniknęło. Dotknęło nas pieczęcią, zdolną kawał gliny przemienić w pulsujący życiem kawał ciała — i odchodziło. Pozostawialiśmy sami z naszym krzykiem nowonarodzonym. Znowu zresztą nie sami, Z Potęgi, która się przez nas przewaliła, coś w nas zostało. Gdysmy, wciąż krzycząc, wstawali na nogi, mieliśmy te same ciała co przedtem potrzebujące jadła i snu, o kolanach zmiażdżonych. Ale nasza nędza była niby kłatka płomienna, który zdolny jest spalić ziemię. Znikła gdzieś równowaga wewnętrzna. Musieliśmy krzyczeć, bo w nas było więcej, niż potrafił zamknąć garnek naszego ciała. Staliśmy kregiem jak przedtem kregiem klęczeliśmy — niecierpliwie, już natychmiast gotowi iść. Wola paliła się w nas niby oblany oliwą stos. Trzeba było dłuższej chwili, by zrozumieć, że nowa istota, która pojawiła się w nas, jest naszą własną istotą, nagle tylko zdumiewająco dojrzała. Słuchaj Justusie — w tej chwili zrozumiałem, co to znaczy narodzić się na nowo! On miał słuszną, nie trzeba stawać się dzieckiem. Narodzić się na nowo to znaczy narodzić się od razu w pełni swych możliwości ludzkich. My, ludzie, rodzimy niemowlętą, które mogą być dopiero czymś. Bóg rodzi od razu olbrzymów, wyrwywających bramy miasta i gromiących całe armie osłą szczęką. O, Justusie — ile spraw stało mi się nagle jasnymi! Pojąłem co krzyczę. Wykrzykiwałem mądrość świata i oni wykrzykiwali to samo obok mnie. Nie myśl jednak, że stałem się nagle uczonym, że ciebie, mego nauczyciela, przeszedłem w wiedzy. Nie, nie! Ja wie tylko to, co mi jest potrzebne. Droga przede mną jest prosta i wtknięta. Wiem gdzie mi trzeba iść i co zrobić. Wiem to wszystko i mam do tego

środku. Biada mi, gdybym ich nie użył! Ale ja pójdę... Czyż mógłbym ustać? Żaden z nas nie mógł już wtedy ustać...

Wybiegliśmy z domu. Przed nami był tłum: amhaarezi z okolicznych pól, pielgrzymi, kupcy, przybysze z dalekich ziem. Stali całą masą. Wybuchnęli śmiechem na nasz widok. Musieliśmy wyglądać zabawnie — gromadka ludzi z gorączką w oczach, z krzykiem na ustach, wymachujących rękami. Tamci śmiejąc się pytali siebie wzajem kim jesteśmy i dlaczego tak szalejemy. Obce języki i narzeczka brzmiały obok nas. Nagle spostrzegłem, że niektóre z nich rozumie doskonale. To było jakby od jednego razu w dziwny sposób odkrył tajemnicę języka, którego będę potrzebował... Każdy z nas otrzymał znajomość języka ludzi sobie powierzonych. Nie tylko rozumieliśmy tamtych. Mogliśmy także do nich mówić ich własnym narzeczem. Staliśmy ośzołomieni otrzymaną mocą, a jednocześnie porażeni rozkazem, który wykonać musieliśmy. Nie było wyboru. Tyle razy zwalniamy się od najcięższego obowiązku zapewnieniem: nie potraficie tego wypowiedzieć... Lecz tutaj nie można się było od niczego zwolnić. Tak, Justusie, taką chwilę przeżywa się w życiu raz tylko jeden. Ja wiem — dziś już wiem — Moc, która spadła na nas w wieczniku, ma także swoje granice. Życie trwa dłużej niż lot łaski. Ale strzała leci szybciej i raz dosięgnąwszy ciała pozostaje w nim na zawsze. Szybkonogi zbieg, porwany panicznie ucieczką unosi ją tkwiącą w swym boku...

Staliśmy przed sobą: śmiejąc się tłum i nas kilku, drżącym, lecz już zdecydowanym. Ja znam siebie, Justusie. Wiem — jestem tchórzem. Lecz wtedy po raz pierwszy poczułem, że się nie boję. To nie żadna sztuka nie bać się, gdy drugi jest słabszy, gdy wiem, że zwyciężę. Lecz mnie strach odszedł, chociaż wiem, że z całą swą nową wiedzą nie jestem silniejszy i moje zwycięstwo nie będzie zwycięstwem silniejszego. Zresztą zwycięstwo... Zwycięstwo jest także strzałą w boku uciekającego...

— Hej, wy, pijacy! — krzyknął ktoś z tłumu — Cóż to za wrzaski? Dlaczego zakłóacie spokój świętego dnia?

— Młode wino szumi im we łbach!

— Uciszcie się!

Powinienem był wystąpić. Strój faryzeusza nakazałby im szacunek. Ale ja namyślałem się... Tak, Justusie, pozostałem nadal sobą: żołnierzem, który naciera tylko na rozkaz. Wtem zobaczyłem Piotra jak się przepycha do przodu. Jego pełna twarz była czerwona, jakby był naprawdę pijany. Wielkimi dłońmi, niby wioślami, rozgarniał towarzyszy. Myślałem: coż on może powiedzieć? Takie myśli były we mnie... Piotr wysunął się przed nas. Stał ogromny, na sześć roko rozstawionych nogach, z ramionami obwisłymi jakby ściągnął mbatten pełną ryb. Gdy zaczął mówić, jego donośny głos zapanował od razu nad krzykiem. On, który wybuchał porywczymi słowami, a potem cichł jak skarcony chłopiec, teraz przemawiał z powagą i pewnością w głosie. „Wolać, żeśmy się popili, zaczął. To nieprawda. Nikt nie pije o tak wczesnej porze. Lecz nie sądzicie, że się tu nic nie stało. Owszem —

przyszło bowiem to, co zapowiedział Joel, prorok Pański, mówiąc, iż nadejdzie dzień, gdy Bóg zesła Swego Ducha na każdego człowieka...”

Ciągle myślałem: to ja powinienem mówić. Tyle starego pozostało we mnie. Ale jednocześnie nie mogłem się oprzeć mocy słów Piotra. Jak się to stało, że ten Galilejczyk, ten rybak z Betsaidy umie tak mówić? Jego słowa były proste a przecież docierały do jądra istoty. Porywały odwagę. „Nie zapomnieliście chyba, mówił, Jezusa z Nazaretu, który był tak niedawno pośród nas, czynił znaki i cuda, udrawiał chorych, wskrzeszał zmarłych, wysłuchiwał waszych próśb? Tego to Jezusa wydalicie na śmierć, aby był przybito do krzyża i umarł. Lecz śmierć nie mogła nad Nim zapobiegać. Dawid umarł i został pochowany tu, na Eyjonie. Ale Jezus umarł — i zmarłychwstał — a my wszyscy jesteśmy tego świadkami...”

Wskazał na siebie i na nas. Ten człowiek, który tak niedawno krzychał, wijąc się z trwogi, na podwórzu u Kafasza: „Nie znam Go!”, on, który nie miał przyjąć nam z pomocą przy zdejmowaniu z krzyża Zwłok Mistrza, teraz z niepokohamowaną stanowczością mówił: „my”. Pojąłem, że nawet z tym wszystkim co otrzymałem, nie umiałbym tak powiedzieć. W Piotrze zaufanie jest szybkie jak błyskawica. Nie słuchałem dalszych jego słów. Setki myśli przelatywały mi przez głowę. Z jakiejże podłej gliny można ulepić naczyne Pańskie! Ludzie przed nami już się nie śmieli. Stali cisi, oniemieli, na wielu twarzach był lęk, żal i rozpacz. Nagle ktoś zawołał:

— Więc cóż mamy robić?

To pytanie powtórzyło wiele głosów:

— Powiedz, co mamy robić!

Piotr postąpił ku nim bliżej. Rozwarł ramiona jak rybak gdy ciska sieć. Rzekł:

— Pokutujcie i przyjmijcie chrzest w Imię Jezusa, a i na was zstąpi Duch Boży, Pocięszyciel i Zbawca. Jest On jak wiatr, który wieje przez pokolenia; Jest jak deszcz, który pada zawsze na ziemię gorzką, twardą, nieurodzajną i łaknącą; jak przesładowca niezmordowany w pogoni, jak sędzia zawsze łaskawy; jak żebrak wy-czekujący pod waszymi drzwiami, jak chory, nigdy pociechy nie-syty...

Mówił, oni zaś podchodzili ku niemu, niosąc swą nędzę w wy-ciągniętych dłoniach. Podszedłem i ja.

— Widzisz, Piotrze... — zacząłem. Chciałem wypowiedzieć to wszystko, co mi się nagle stało jasne: że byliśmy inni, że każdy z nas z czym innym przyszedł do Jezusa — a przecież On oddał każdemu wedle Bożej miary. Ale Piotr niecierpliwie potrząsnął głową. Powiedział:

— Kiedy indziej powiesz mi, Nikodemie. Nie mamy teraz czasu. Czy nie widzisz — zatoczył ręką krąg nad głowami ludzi, — że ten ogień wszystko podpalił? — Jakby nie wiedząc czy rozumiałem, położył mi dłoń na ramieniu, pochylił się nad mną. — Powiedziałem Mu wtedy: „Ty wiesz wszystko...” On wie ile jest miłości rozproszonej w sercach. I zwołuje ją dziś jak rozproszone wojsko. A my, Nikodemie, mamy być trąbką...

Jan Dobraczyński

Kartki ze szkicownika

(Dokończenie ze str. 9-tej)

czuć, że klientka porównuje go z kimś wybitnym. Po chwili milczenia począł uwalniać Teresę z błyszczącego skafandra.

— Teraz fryzura potrwa długo — zapewniał.

Malarka wstała, rozprostowała kości i poprawiła dłońmi twarde, jędrne loczki. Pan Jan strzepnąwszy biały chałat, powiesił go na wieszaku i spojrzął na ścianę. W starym zegarze trzepotało się nerwowo wahadło. Wskazówki właśnie zrównały się pionowo. Była dwunasta.

Fryzjer wychyliwszy głowę z za kotary stwierdził, że nie ma klientów, zdjął z gwoździa tabliczkę „Zamknięte” i poszedł zawiesić na szybie. Teresa rozglądała się tymczasem po lokalu. Zauważyła na szafie popiersie gipsowego manekina. Sięgnęła po nie. Ściągnęła z głowy lalki perukę i zanim wracający od drzwi fryzjer zdążył się zorientować włożyła mu ją na łysinę aż prychnął od kurzu...

— Przepraszam, to tylko trochę prochu, mówiła rozentuzjasmowana swoim odkryciem. Odskokczyła kilka metrów, przekrzywiła głowę i zachwycała się zaimprovizowaną charakterystacją.

Rzeczywiście, Jan Sebastian Głowacz podobny był do Bacha jak dwie krople wody. Wysunął dolną szczękę i obserwował zwrzuconymi oczami dziwną kobietę. Nie wiedział czy to zaloty, czy atak hysterii.

— Co pani właściwie odemnie chce? — spytał wreszcie.

Malarka podsunęła mu tygodnik z podobizną kompozytora.

Stał przed lustrem, wyciągnął rękę z czasopismem i zbliżał coraz bardziej do odbicia swojej twarzy. — Jak to pani wykombinowała — dziwił się głośno. — To niemożliwe! Musiał mnie ktoś podpatrzeć jak podczas karnawału przymierzylem dla hecy te kłaki...

W niedzielę po południu uczestnicy zjazdu mieli niecodzienny widok.

Na podium zrobionym z kilku stołów, siedział fryzjer Jan Głowacz, w peruce, z uniesieniem patrząc w okno. W dużej czerwonej piędzi zaciskał zwój nut.

Staszek, znany wszystkim jako zrównoważony, solidny muzyk wygrywał na koncertowym Steinway’u chorały i fugi, z uwielbieniem zerkając na Teresę.

Małowała spokojnie ale z zapalem i paliła dużo papierosów. Wszyscy troje byli tak zajęci, że nie widzieli zbiegowiska wesolych artystów, którzy usadowili się za galerijką tłumiacz wybuchał śmiechem, gdy poważny model chcąc kichnąć albo poskrobać się po karku, wykonywał zwolnione ruchy jak nurek pod ciśnieniem kilkudziesięciu metrów wody.

W przerwach rozmawiali.

Pan Głowacz interesował się zjazdem i muzyką. Później mówił o sobie...

...aż piętnastocioro! Słyszałaś Tereso? — dziwił się Staszek, wracając do fortepianu.

Andrzej Lepkowski

KONFERENCJA KATOLIKÓW ŚWIECKICH

(Dokończenie ze str. 4-ej)

cepcja polityczno - społeczna jest naj-
słuszniejsza, więc katolik zobowiązany
przede wszystkim do służby Prawdzie,
może nie przyjmować żadnej.

MY WIEMY

Tymczasem my wiemy z pięcioletnie-
go doświadczenia, że bez konkretnie-
go zaangażowania we współczesność
nie można skutecznie służyć Kościoło-
wi i Polsce. Przykład ostatnio zawar-
tego Porozumienia chyba dostatecznie
wymownie ilustruje powyższą tezę. A
do jakiego absurdu się dochodzi nie
rozumiejąc tej oczywistej prawdy, wi-
dzimy czytając z najwyższym zdumie-
niem entuzjastyczne deklaracje na tem-
at Porozumienia, składane przez jed-
nostki, które częstokroć się gorszyły,
kiedy inni głosili tezy, które właśnie
w Porozumieniu znalazły najbardziej
autorytatywną aprobatę. Lichniak na-
zywa tę postawę postawą „dwu kodeksów
moralnych”: Jeden na wynos, drugi
na własny użytek... Ja nie wa-
habym się jej nazwać conajmniej nie-
konsekwentną”.

POZOSTAWIENI SAMYM SOBIE

Zygmunt Lichniak formułował bole-
śną diagnozę ostro i precyzyjnie:
„Postawmy sprawę jasno. Nie chodzi
w tej chwili o pokolenie, które już
wkroczyło w życie publiczne, które już
zaangażowało się na miarę swoich sił
w dziele tworzenia nowego ładu spo-
łecznego i nowej struktury kulturo-
wej. Chodzi nam o młodzież katolicką
w wieku od 14 — 20 lat, młodzież prze-
bywającą w końcowych klasach szkoły
ogólnokształcącej lub na pierwszych
latach szkół akademickich.

Zacząć musimy od konstatacji przy-
krego faktu, do tej pory młodzież kato-
licka nie istnieje dla działaczy kato-
lickich jako osobny i konkretnie okre-
ślony przedmiot troski i oddziaływa-
nia opartego na przemyślanym i zgod-
nym z właściwą oceną sytuacji zasa-
dach.

Dalej: młodzież katolicka, pozosta-
wiona samej sobie nie umie ustalić
właściwego, zgodnego z katolicyzmem
stosunku wobec otaczających ją zja-
wisk, bo skłania się, albo ku mecha-
nicznej akceptacji ideologicznej, albo
ku mętnej apolityczności czy katoli-
cyzmu z metryki.

Wreszcie: młodzież katolicka, idąca
samopas, nie opuściła jeszcze fałszy-
wych dróg fideistycznej, tradycjonalis-
tycznej, sentymentalnej interpretacji
zasad wiary, skazując się bezwiednie
na wszystkie grzechy mętnej idealiz-
mu.

OBY NIE „PIA DESIDERIA“

Z tej diagnozy wynikają moim zda-
niem następujące wnioski:

Pierwszy: wykorzystując praktyczne
szanse stworzone zagwarantowaniem
uprawnień światopoglądowych w Pol-
sce Ludowej, środowiska katolickie po-
winny za swój obowiązek traktować
nawiązanie kontaktów z młodzieżą kato-
licką, kontaktów, mających służyć
oddziaływaniu na nią w myśl wynika-
jących z właściwego rozumienia roli
katolicyzmu polskiego zasad.

Drugi: zasady oddziaływania środo-
wisk katolickich na młodzież określo-
nych wyżej roczników uwzględnić mu-
szą.

a) współczesne antynomie światopo-
glądowe,
b) konkretną sytuację polityczno-
społeczną,

c) określone warunki środowiskowe,
czyli:

ad a) trzeba młodzież zaktywizować
światopoglądowo,
ad b) uświadomić politycznie,
ad c) skłonić do rewizji jej poglądów
wynikających z uwarunkowań socjalnych.

Trzeci: Podstawą całej akcji musi
być realne dążenie środowisk katolickich
do podniesienia rangi intelektual-
nej młodzieży katolickiej.

Uważam, że wnioski tych sformu-
lowanych w formie postulatów nie moż-
na zaliczać do rzędu pobożnych ży-
czeń, lecz potraktować je należy jako
wytyczne konkretnej pracy”.

O postawę właściwą

Problem postawy katolików wobec
współczesności frapował wielu mów-
ców. Zahaczał o niego Gołubiew, kie-
dy nawoływał do wnikliwej i wzmoc-
nionej pracy intelektualnej, która zda-
niem Autora „Bolesława Chrobrego”
winna poprzedzić działalność praktycz-
ną, nawiązywała doń wypowiedź p.
Ostrowskiego z Łodzi. Wydaje się jed-
nak, że najtrafniej został on postawio-
ny w uwagach, które cytujemy poni-
żej.

WARUNEK „SINE QUA NON“

Jan Dobraczyński formułował swoje
refleksje na temat życia wewnętrznego,
wychodząc z marginesowego i do-
syć akademickiego dylematu, jaki wy-
niknął w trakcie dyskusji: „kto dziś
nam bardziej potrzebny Sw. Bernard
z Clairvaux czy Sw. Tomasz z Akwi-
nu”. Dobraczyński nie odpowiedział
na to pytanie, natomiast poruszył pro-
blem znacznie donioślejszy:

„Oczywiście każda epoka potrzebuje
swego świętego, który wypowiada jej
trudności i jej potrzeby. Jednocześnie
wydaje mi się, że wielkość myśli kato-
lickiej, wypowiedzianej przez wielkie-
go katolickiego myśliciela nie jest
wszystkim. Jest znacznie może waż-
niejszą sprawą świętości życia codzien-
nego, tej świętości życia codziennego,
która jest podkładem i koniecznym
czynnikiem działania w każdej akcji po-
litycznej. Peguy powiedział kiedyś, że
każda wielka idea każda wielka świę-
tość, gdzieś w ostatecznym działaniu
zrodzi akcję polityczną, ale chodzi o
to, ażeby ta akcja polityczna tej rze-
czy nie zepsuła i była jej należytym
wyrazem, a należyty wyrazem może
być tylko wówczas, jeżeli życie we-
wnętrzne nie będzie sprowadzone do
zewnętrznych, powierzchownych for-
m.”

Redaktor „Znaku” i tegoroczny lau-
reat Nagrody im. Włodzimierza Pię-
trzaka dr. Stanisław Stomma sięgnął
do korzenia problemu, ukazując nad-
przyrodzony a zarazem jak najbardziej
konkretny sens szczerzego przeżywania
katolicyzmu: „Jeżeli ludzie np. chodzą
do spowiedzi, jeśli czyni to cała masa
ludzi, to mimo wszystko ten raz na
rok zrobiony rachunek sumienia, to
wniknięcie w siebie, to jest wkład ety-
czny. Mnie się zdaje, że problem leży
tu gdzieś bardzo głęboko: w wyższym
poczuciu odpowiedzialności tych kato-
lików, którzy naprawdę logicznie wy-
ciągają wszystkie konsekwencje ze
swej wiary...”

KONIECZNE UZUPELNIENIE

Zrobił je Wojciech Kętrzyński: „W
dyskusji, która wniosła tyle pozytyw-
nych akcentów do głównej tezy na-
szych obrad, jaką jest potrzeba pełne-
go poparcia zawartego między Hierar-
chią a Rządem RP. Porozumienia, pa-
dły jednak również akcenty scepty-
czny — zapytują tu niektórzy, czy w
naszym stanowisku nie ma przeszer-
nienia zewnętrznych, polityczno - spo-
łecznych elementów postawy katolika na
niekorzyść troski o wewnętrzne ten-
dencje odrodzeńcze katolicyzmu w
Polsce.

Pragnąłbym tu jak najmocniej pod-
kreślić, że problematyka odrodzenia się
w Polsce katolicyzmu głębi była i jest
nam zawsze niezmiernie bliska. Je-
steśmy bezwzględnie przekonani o po-

trzebie tego odrodzenia i w wypowie-
dzi Konstantego Łubieńskiego właśnie
te akcenty troski o treść katolicyzmu
przebijają aż nadto wyraźnie.

Niemniej mocno pragnąłbym jed-
nak również podkreślić nasze przekon-
anie, że nie można pracować nad re-
alizowaniem w Polsce katolicyzmu
głębi, jeżeli się wychodzi z fałszywych
przesłanek polityczno - społecznych.
Więcej nawet — nie można realizować
tendencji odrodzeńczych w katolicyzmie
abstrahując do przesłanek, które dyk-
tuje nasza rzeczywistość społeczno-
polityczna. Katolicyzm nie rozwija się
w abstrakcji. Katolicyzm nie jest ab-
strakcją. Katolicyzm jest stosowa-
niem niezmiennych, objawionych
prawd wiary w tych konkretnych war-
unkach, jakie stwarza rzeczywistość
i tymi środkami, jakie dyktuje dana,
konkretna epoka.

Nasze ambicje odrodzeńcze trzeba
więc umieć ustawić w życiu, trzeba
umieć je realizować metodami zgodny-
mi z duchem i wymogami czasów w
których żyjemy.

Jeśli dziś napotykamy się na tak du-
że trudności w realizowaniu w życiu
codziennym naszej postawy katolickiej,
to trudności te wynikają w równej
conajmniej mierze z braku dostatecz-
nego pogłębienia naszego katolicyzmu,
jak i z braku umiejętności oceniania,
zrozumienia i wyciągnięcia w działal-
ności katolickiej wszystkich konsekw-
cji wynikających właśnie z epoki w
której żyjemy.

Jeden z biskupów, zapytany przez
nas, kogo z jego diecezji moglibyśmy
na dzisiejsze zebranie zaprosić — bez-
radnie rozłożył ręce i powiedział: „Nie
mam ich. Każdy jest dobrym katolikiem
w prywatnej ze mną rozmowie,
lecz gdy przychodzi do tego, by pu-
blicznie świadczyć o swym katolicyz-
mie — to mi zawsze brak ludzi wokół
siebie”.

W jakiej mierze, proszę Panów, ten
brak ludzi, ta pustka, jaką odczuwamy
wokół siebie jest spowodowana zbyt-
nią powierzchownością religijności, a
w jakiej — fałszywym ustawianiem
się w życiu publicznym? I my na na-
szym katolickim odcinku, mamy do
czynienia z powazną, niezmiernie szko-
dliwą wewnętrzną emigracją, która
odmawia uaktywnienia się właśnie
przez wzgląd na fałszywy, małoduszny
stosunek do otaczającej ją rzeczywistości”.

O MYSL WCIELONA

„Stworzyć pełnowartościowy ruch
katolików świeckich — mówił Kętrzyń-
ski — wymaga czegoś więcej niż głę-
bokich przemyśleń. Wymaga czynów,
rozumnych czynów, czynów mieszczą-
cych się w ramach, jakie dziś przed so-
bą stwierdzamy. Tylko wówczas, gdy
my wychowamy taki nowy typ kato-
lickiego działacza — ruch świecki w
katolicyzmie znajdzie sobie właściwe
miejsce i należy mu szacunek.

Jeśli więc dziś domagamy się od naj-
szerszego grona świeckich działaczy
katolickich przemyślenia całej treści
społecznej, zawartej w Porozumieniu
między Kościołem a Państwem w Pol-
sce, to nie tylko dlatego, że dopatru-
jemy się tu ewenementu o specjalnym
politycznym ciężarze gatunkowym. Do-
magamy się przede wszystkim dlatego,
że w treści podpisanego układu
mieści się cały program działania dla
katolików świeckich, program, którego
realizacja warunkuje w znacznej
mierze pogłębienie się wewnętrznego,
religijnego nurtu w naszym katolicy-
zmie.

Realizacja tego programu wymaga
wykazania się odwagą. Odwagą w re-
alizowaniu w życiu codziennym kon-
sekwentnie nakazów religii, odwagą
reprezentowania w społeczności katolic-

kiej tej linii społeczno - politycznej,
która nas ustawia po stronie sprawy
słusznej i realnej. O tę właśnie od-
wagę decyzji dziś tutaj apelujemy”.

Odpowiedzialność

Bolesław Piasecki korzystając z
praw przewodniczącego:

Wydaje się koniecznym podkre-
ślić, jakie czynniki spowodowały że
doszło do uregulowania stosunków
między Kościołem a Państwem. Za-
sadniczym elementem był tu nacisk
rzeczywistości, który domagał się u-
regulowania współżycia Kościoła i
Państwa.

Drugim czynnikiem była roztrop-
ność Episkopatu i Rządu, która po-
trafiła znaleźć rozwiązanie tej
kwestii. Znając jednak sprawę do-
brze, możemy stwierdzić, że pozy-
tywną rolę w zakresie Porozumienia
odegrał czynnik trzeci, którym była
opinia katolików świeckich. *Takie
rzeczy, jak uregulowanie stosunków
nie spadają z nieba, ale dzieją się
wtedy, gdy ktoś konsekwentnie
chce — otóż możemy stwierdzić, że
katolicy świeccy tę swoją wolę po-
trafili wykonać.*

Jest to także wskazówka na przy-
szłość. Konieczna jest jak najwięk-
sza aktywność katolików świeckich,
zmierzająca do pełnego wprowadze-
nia porozumienia w życie, przy

czym, rzecz charakterystyczna, rola
katolików świeckich jako wykonaw-
cy porozumienia jest najbardziej
wszechstronna. Zadaniem szerokiego
kół katolików świeckich, jest nato-
miast interesowanie się wszystkimi
punktami porozumienia, ponieważ w
każdym z nich jesteśmy zaintereso-
wani bezpośrednio, bądź jako kato-
licy, bądź jako obywatele.

Tak samo wszechstronnie musimy
polejść do zagadnienia ideologicz-
nych perspektyw porozumienia. Jest
zadaniem nas, katolików świeckich
zarówno w skali polskiej, jak i mię-
dzynarodowej, znaleźć drogi do prze-
konania marksistów, że wyznawanie
wiary katolickiej w pełnym bez-
kompromisowym znaczeniu nie po-
ciąga za sobą zajmowania postawy
reakcyjnej politycznie. Jest także
zadaniem naszym rozpowszechnić w
całym społeczeństwie katolickim
przekonanie, że wiązanie sprawy
Kościoła z odchodzącym światem
konserwatywnym i kapitalistycznym
jest dla sprawy religii szkodliwe.

Uczestnicy konferencji uchwalili re-
zolucję, której tekst zaproponował dr.
Aleksander Rogalski, poczem rozjecha-
li się do domów, ale dopóki dobrowol-
nie przyjęte zobowiązania nie zostaną
zrealizowane trudno uznać konferen-
cję za skończoną. Konferencja kato-
licka porozumienia w życie, przy
kół świeckich trwa.

REZOLUCJA UCHWALONA

na Konferencji świeckich katolików

*Zebrani w dniu 14 maja 1950 r. przedsta-
wiciele świeckich środowisk katolickich na
konferencji, poświęconej omówieniu zawarte-
go w dniu 14 kwietnia porozumienia między
Kościołem i Państwem uchwalają następują-
cą rezolucję:*

1 *Wyrażamy wdzięczność Episkopatowi
Polskiemu i Rządowi Polski Ludowej, że
pomimo odrębności światopoglądowej zostało
zawarte porozumienie między Kościołem
a Państwem, które, gwarantując milionowym
rzeszom katolików w Polsce konkretny za-
kres życia religijnego, jeszcze bardziej wzmo-
że wysiłek narodu w realizacji podstawowych
celów współczesnej polskiej racji stanu.*

2 *W wykonaniu części porozumienia, do-
tyczącej życia religijnego, zobowiązujemy
się sami i wzywamy wszystkich katolików
polskich do intelektualnego pogłębienia zna-
jomości własnego światopoglądu. Wysuwamy
także postulat wzięcia czynnego udziału
w pracach Zrzeszenia Katolików „Caritas”.
W przekonaniu, że organizacja ta służyć bę-
dzie idei miłosierdzia chrześcijańskiego,
a równocześnie sprawie dalszego pomyślnego
rozwoju stosunków między Kościołem a Pań-
stwem.*

3 *W wykonaniu części świeckiej zawarte-
go Porozumienia, zobowiązujemy się
i wzywamy wszystkich katolików w Polsce
do zajęcia zdecydowanego stanowiska, zmie-
rzającego do upowszechnienia w całości pol-
skiej racji stanu sprecyzowanej w pierw-
szych dziewięciu punktach porozumienia.*

4 *Wobec wymagającej się na całym świecie
propagandy wojennej, osłanianej nieraz
frazesami o chrześcijańskiej krucjacie, zebrani
oświadczają się zdecydowanie po stronie
pokoju. Uważamy za najbardziej słuszne żę-
danie konferencji sztokholmskiej, aby każdy
nowy agresor, stosujący środek masowego
niszczenia ludności, jak na przykład bomba
atomowa, wodorowa itp., uznany był za zbrod-
niarza przeciwko ludzkości i postawiony przed
trybunałem międzynarodowym.*

5 *Podkreślając zgodność ze stanowiskiem
Episkopatu Polskiego katolicy polscy
deklarują nieugiętą wolę obrony granicy po-
koju na Odrze i Nysie przed zakusami za-
chodniego rewizjonizmu.*

Włodzimierz Wnuk

Rys. Krystyna Górską

Z »BOLESŁAWEM CHROBRYM« DO MALBORKA

Kiedy czytamy w gazecie że w takim a takim mieście odbył się wieczór autorski, że w ramach akcji „Autorzy wśród swoich czytelników” przybył na dany teren taki a taki pisarz i miał z publicznością szereg spotkań literackich, nie zdajemy sobie na ogół sprawy, ile treści kryją w sobie te lakoniczne i suche notatki. Olsni nas niekiedy swym blaskiem nazwisko wędrującego autora, zadziwi czasem szlak tej wędrowki, wiodący przez Kłaje, Wólki, Pacanowy — ale też i na tym kończy się przeważnie nasze zainteresowanie spotkaniami literackimi, o których raz po raz donosi nam prasa. A przecież dzieją się na tych spotkaniach rzeczy godne nie-
co większej uwagi.



Z literaturą w teren jeżdżą nie tylko pisarze wielcy i głośni, autorzy znani i uznani. Nie starczyłoby ich dla nasycenia kulturalnego głodu jednego województwa, a cóż dopiero całego kraju wołającego dziś nie tylko o dobrą książkę, ale i o jej autora, domagającego się żywego, bezpośredniego kontaktu z twórcą. Dlatego też na spotkaniach literackich jeżdżą również pisarze mniej znani, tacy, którzy eksportują na prowincję nie tyle własny, skromny dorobek, ile dorobek swoich starszych kolegów po piórze, starszych dojrzałością artystyczną i ciężarem gatunkowym twórczości. Tym procederem, bynajmniej ujmę nie przynoszącym, trudnią się przede wszystkim ci młodzi pisarze, którzy w licznych oddziałach Związku Literatów Polskich kandydują dopiero na członka rzeczywistego Związku, a których działalność odczytowa na prowincji uchodzi na ogół uwadze prasy literackiej. Tymczasem jest może i na co zwrócić uwagę. „Czeladnicy” bowiem fachu pisarskiego potrafią niejedno zdziałać dla upowszechnienia kultury — niech zaświadczą o tym terenowe komórki „Czytelnika” i Z.L.P., korzystające z usług młodej braci literackiej i posyłające ją nieraz na najczarniejszą robotę. Oplaci się jednak ona „czeladnikom” i to dobrze. Nauczają się w niej sporo i danym im będzie przeżyć w tym „terminie” chwile, które pragnąby może przeżyć niejeden wielki autor.

Niech mi wolno będzie odwołać się do własnych wspomnień z różnych etapów literackiej jazdy w „nieznane”. W nieznane, bo każdy właściwie wyjazd z odczytem na prowincję stawia człowieka przed niewiadomą: ilu ludzi przyjdzie na spotkanie, jacy to będą słuchacze, jak zareagują na odczyt?

Pewnego wiosennego dnia, dwa lata temu, wyprawił mnie „Czytelnik” gdyński do Bytowa. Do tego małego, okrutnie zniszczonego miasteczka położonego na zachód od Kościerzyny (już na terenie woj. szczecińskiego) nie trafił jeszcze żaden literat, pojechałem tedy na pierwszy ogień, pełen niepokoju, 3 maja 1949 w Domu Kolarza w złych przeczuć... Ale oto już na

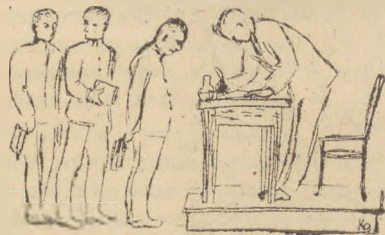
dworcu bytowskim przywitało mnie nieśmiały, dobrym uśmiechem dwóch młodych ludzi: „Czy pan literat z Gdyni?”. To miejscowe Liceum Pedagogiczne wysłało po mnie uczennicę i ucznia, żebym się nie zagubił wśród ruin. Niebawem jadłem w internacie licealnym obiad poniedziałkowy z młodzieżą. A po obiedzie maszerowałem ulicami miasta z kolumną dwustu chłopców i dziewcząt rozśpiewanych na cały głos i radosnym tym śpiewem budzących do życia obumarłe miasteczko. Maszerowałem do Domu Kultury na swój własny odczyt ciesząc się i jednocześnie żałując, że na afiszach nie figurowało zamiast mego inne nazwisko, bardziej godne tego entuzjazmu z jakim nauczycielstwo i młodzież Bytowa szła literaturze naprzeciw. Mówiłem wtedy o współczesnej polskiej powieści historycznej, o powieściach piastowskich, które ukazały się po ostatniej wojnie. To, co mię po odczytaniu spotkało ze strony dwustu młodzieńczych i dziewczęcych cery, można tylko zachować we wspomnieniach, tego na papier przenieść się nie da.

W pół roku potem pojechałem z tym samym odczytem do Malborka. Pojechałem w towarzystwie kol. Talarczyka, absolwenta Wyższej Szkoły Muzycznej z Sopotu. Był już wieczór kiedy zawitaliśmy do miasta. „Wieczór literacko - muzyczny” miał się rozpocząć o godz. 19-tej, w sali kina „Capitol”, poszliśmy tedy prosto z dworca do kina. Ale cóż to? Przed „Capitolem” tłumy ludzi, nie możemy dobrać do kasy ani do dyrekcji kinoteatru, ani do drzwi wejściowych na salę — w hallu niesamowity tłok. Zaszło widocznie nieporozumienie, ludzie śpieszą na film, a nasz występ wyznaczono pewnie na inną porę lub w innym lokalu. Pytamy wreszcie stojących w kolejce, co tutaj ma być o godz. 19-tej? „A co, nie czytali panowie na afiszach? Literaci i muzycy przyjechali z Gdańska” W kwadrans później stanąłem oko w oko z półmilionową masą ludzką zalegającą szalenie okazałą salą, a rekrutującą się z wszystkich warstw społeczeństwa malborskiego. Kolega pianista rozpoczął wieczór Chopinem i Rachmaninowem, a ja zakończyłem... Mieszkiem I i Bolesławem Chrobrym. Trzeba było widzieć, z jakim napięciem śledzili ludzie scenę w której gołubiewowski Bolko siecze do krwi różgami a potem wspaniałomyślnie do łaski przywraca zbuntowanych wojów Odowych. Trzeba było słyszeć burzę oklasków, jaka wtórowała epilogowi tej sceny, „na chwałę Bolkowi, wielkiemu księdzu”. Czyż mogłem kiedykolwiek przypuszczać, że oto przyjdzie mi zdobywać z Bolesławem Chrobrym Malbork..?

Wiele wspomnień nasuwają mi odczyty, jakie miałem o książce Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe”. Zjeżdżałem z nimi sporo miast i wsi na ziemi gdańskiej, warmińskiej i mazurskiej. Żałuję dzisiaj, że nie robiłem sobie notatek z tych wędrowek, każde bowiem spotkanie z czytelnikami przynosi jakieś nowe przeżycie i obserwacje, które z biegiem czasu zaciera się w pamięci. Ale są i takie, które się pamięta dobrze nawet bez notatnika. Takie właśnie spotkanie miałem w dniu 12 maja 1949 w Olsztynie, gdzie z okazji otwarcia

Tygodnia Oświaty mówiłem o książce Rudnickiego. Po odczytaniu podeszło do mnie paru kolejarzy z egzemplarzami „Starego i nowego” w ręku; kupili je sobie w urzędowym na miejscu stoisku („Czytelnika”), prosząc mnie o dedykację. „Ależ ludzie, — tłumaczę im — to przecież Rudnicki napisał tę książkę...”. Nie pomogły moje skrupuły, natury zresztą zasadniczej, musiałem wpisać parę słów „Na pamiątkę odczytu” jak prosili kolejarze.

Dwa miesiące później przyjechałem z książką Rudnickiego do założenia Państwowego Browaru w Elblągu. Nie chciało się robotnikom zbierać w świetlicy po „fajrancie”, czemu się zbytnio nie dziwiłem: kto wie, co za jeden przyjechał i z czym przyjechał, a tu się człowiekowi rwie dusza do domu. Zaczęło się tedy nasze spotkanie w niewesołym nastroju. Niebawem jednak cicho się stało na sali, jakby makiem posiał bo oto po moim wstępie przemówił z kart swej książki sam Rudnicki. I kiedy zaczął opowiadać jak to ongiś nianczył młodszych braci palił w piecu, skrobał ziemniaki, pilnował garnków, pałł gęsi, kiedy zaczął wspominać, jak to nauczył się czytać na grubej książce do nabożeństwa swojej babki, jak potem będąc robotnikiem w Łodzi, czytał po nocach pierwsze socjalistyczne broszury — pracownicy browaru słuchali z otwartymi ustami. Napięta ciszę przerywał tylko niekiedy wybuch śmiechu wywołany tarapatami małego Lutka Rudnickiego. Nieruchoma gromadę ożywiały tylko czasem rece kobiet podnoszące



się z chusteczką do oczu. I ciągle jeszcze widzę łzy robotnic elbląskich współczujących chłopcu, który musiał z własną matką walczyć o prawo do książki, o prawo do oświaty. Ale te łzy osuszyła radość, że ów biedny chłopiec sulejewski wyrósł na człowieka, że przez walkę i trud całego swego życia doczekał chwili, w której Polska Ludowa przyznała mu pierwszą państwową nagrodę literacką.

Z licznych odczytów, jakie wygłosiłem o książce „Stare i nowe” na północy naszych Ziemi Zachodnich, szczególnie utkwił mi w pamięci ten, który miałem w świetlicy Tartaku Państwowego w Sadlinkach pod Kwidzynie. Przyjechałem do Sadlinek w sobotę, odczyt wyznaczono na godz. 13-tą, zaraz po skończeniu pracy. Powtórzyły się perypetie elbląskie, większość słuchaczy szła do świetlicy z wyraźnym oporem, spogladając z tęsknotą ku bramie. Po upływie kwadransu trudno było tych ludzi poznać, z takim przejęciem słuchali, z takim żarem w oczach wpatrywali się w książkę otwartą na mych reках Kiedy skończyłem, wstał jeden z robotników i w prostych, gorących słowach podziękował za odczyt, za to, że i o nich w Sadlinkach literaci nie zapomnieli, zapewniając mnie, że książka Rudnickiego trafi teraz nie tylko do jego rąk ale i do rąk wielu jego

towarzyszy. Ten sam robotnik — nazywał się Kuczyński — zwrócił się do mnie z prośbą, czy nie mógłbym czegoś powiedzieć o własnej twórczości, czy nie zechciałbym przeczytać czegoś własnego. Cóż było robić? Wyjąłem z teczek „Walkę podziemną na szczytach” i w paru słowach opowiedziałem, o czym ta książka traktuje i dlaczego ją napisałem. Fragmentów z niej nie czytałem, bo nie chciałem przedłużać zebrania, nie chciałem robotnikom zabierać wolnego czasu sobotniego, na który się czeka zawsze z takim upragnieniem. Na zakończenie wstał jeszcze raz Kuczyński życząc mi szczerze, żebym się doczekał... nagrody Nobla.

W dwa tygodnie potem otrzymałem z Sadlinek list, z którego cytuję niektóre ustępy: „Kochany Przyjacielu! Ucieszy Was pewnie, gdy Wam powiem, że w wyniku Waszego odczytu o Rudnickiego „Stare i nowe” na tę garstkę ludzi — 98 osób — 69-ciu zamówiło książkę. Co do Waszej książki to wędruje ona z rąk do rąk ja osobiście czytałem pierwszy i powiem moje zdanie jako prosty robotnik Tytuł powinien brzmieć: „Prawda w oczy” lub „Wimieniu prawdy”. Okazaliście dużą odwagę pisząc tę książkę w okresie gdzie całe społeczeństwo było innego zdania o góralach Dzieło Wasze winno się znaleźć w każdym domu górala jako legitymacja prawdy o uczuciach górali i ich stosunku do okupanta. Życzę Wam naprawdę to co powiedziałem na zebraniu — Nagrody Nobla. Z



koleżeńskim pozdrowieniem Michał Kuczyński, robotnik. Tartak w Sadlinkach”.

Takie oto listy otrzymują wędrujący pisarze od prostych ludzi pracy, z którymi się zetknęli, takie chwile przeżywają autorzy spieszący do swoich czytelników w szkołach, kopalniach, fabrykach, gospodarstwach rolnych. Kiedy więc czytacie w prasie o spotkaniach literackich coraz gęstsza siecią obejmujących nasz kraj pomyślcie przez chwilę o kolejarzach w Olsztynie, robotnikach w Elblągu, i o Michał Kuczyńskim z Tartaku Państwowego w Sadlinkach.

Włodzimierz Wnuk

Bohdan Kazimierz Bogdanowicz

Notatki poznańskie

z XXIII M.T.P.

Witali nas tłumnie ludzie prości
Uwikłani w dwudziestu flagach...
...I znów chyba zacznę o miłości,
A miałem pisać o Targach.

Jednak!...

Jednak posłuchajcie
Chóru w muszli Wilsona,
Posłuchajcie zapowiedzi megafonu,
że „Zygmunt Jasię prosi
O czwartej koło pawilonu...”
To wystarczy. Zostawmy ich samych.
— W parku wszystkie bzy kwitną —
Powód jasny.

W pawilonie stoją szeregiem,
Przyjmując tłumną defiladę,
Obrabiarki, frezarki, szlifierki,
Nie oliwą pachną lecz sadem,
Bo Zygmunt przyszedł z kwiatami
I czeka.

Tu już nikt nie zatrzymuje koni
Jak Adam nad Switezją.
Tysiąc pociągów czas przegoni,
Żurawie przesłem niebo mierzą
By przeladować na firmament
Tysiąc traktorów od Ursusa,
By tętnem pracy grała co rano
Zaorywana, gwiazdna głusza.

Zakochani w pracy przyjaciele,
Gdy wróćcie do domu, do swoich,
Gdy pójdziecie na spacer o zmroku
Opowiedzcie — to przecież niewiele —
że my mamy receptę na pokój.

1950

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 1.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-110736